POLSKA WALCZĄCA

Bibl. Jag.

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 27-go września 1941r.** **Rok III. Nr. 39**

O WZAJEMNĄ DOBRĄ WOLĘ

BEZ KOMPROMISU

Może to najcięższa rzecz na świecie dla ludzi, dążących do pewnego celu, ustąpić choć na piędź od ideału, jaki sobie stworzyli. Wydaje im się, że pomniejszają umiłowany cel, że wpadają w kompromis. Kompromisowość bywa ostro zwalczana; w organizacjach ideowych uczy się młodzież, że to ostatnia rzecz. Kompromis ma w sobie coś z kapitulacji; przeciwnie—stanowisko nieustępliwe, twarde, jest symbolem rycerskości bez lęku i bez zmazy. Jeżeli chodzi o efekt na tłum, albo nawet na jakiekolwiek liczniejsze zgromadzenie, to wiadomo, iż kompromisowym wnioskiem go się nie porwie. Praktyka parlamentarna wskazuje, że dopiero w komisjach, ciałach mniejszych i kompetentniejszych, osiąga się uzgodnienie zdań i w ostatecznym wyniku—kompromisy. Plenum je potem ratyfikuje, ale to nie są owe wspaniałe zwycięstwa, o których długo wspominają kroniki zgromadzenia. Tak dalece prawdą jest, iż piękna i wielkości szukamy w uczuciach, a nie w rozsądku.

Poco to wszystko mówimy? Aby bronić kompromisów?—Bynajmniej. Tylko i wyłącznie poto, żeby przejść do pewnych zasad życia zbiorowego, które zawsze zmusza do liczenia się ze zdaniem innych, jeżeli pragniemy osiągnąć wynik zbiorowy.

Ażeby skończyć z naszym punktem wyjścia i nie zostawić ani śladu wątpliwości co do intencji tego artykułu, pozwolimy sobie na małą dygresje. Któryś z pomniejszych poetów, bodaj że końca XVIII wieku, zostawił po sobie wierszyk dydaktyczny, przedrukowywany w dawniejszych czytankach szkolnych. Biorąc asumpt z przysłowia: "Kiedy wlazłeś między wrony, to tak krakaj, jak i ony"—poeta doradza liczenie się ze zdaniem innych. Jednakże w zakończeniu czyni znamienne ograniczenie tej ustępliwości:

Lecz gdy wleziesz między wrony
Cudzych wiar i zdań,
Tedy nie kracz, ale śmiało,
Jak cię bóstwo przestrzegało,
Przy swej wierze stań.
Śmiało prawdę swoją wysłów,
Wbrew poradom wszelkich przysłów.

Tu wyraźnie zarysowana jest granica kompromisowości, tu staje się niewątpliwe, iż szanujący się człowiek nie ze wszystkiego kapitulować może. Gdyby było inaczej, to historia Polski nie była by nam przechowała obrazu Rejtana, rzucającego rozpaczliwy protest wobec małodusznego sejmu i obcej przemocy. Nie była by uświęciła pamięci Tadeusza Kościuszki, a księcia Druckiego-Lubeckiego postawiła by ponad Piotrem Wysockim. Księciu Adamowi Czartoryskiemu zachowała by glorię ministrowania Aleksandrowi I, nie zaś ciężkich zmagań emigranckich, z pominięciem interesów osobistych i rodzinnych. Wreszcie dzisiaj—nie podniosła by tak wysoko czynu Stefana Starzyńskiego, wśród bomb i ruin stolicy wyrastającego na symbol niezłomnej Polski. Czy to nazwiemy ideą, czy wiarą, czy honorem—mniejsza o to. To jest owo "święte świętych" każdego uczciwego człowieka, dokąd przystępu nie ma dla zwątpień, osłabnięć i właśnie kompromisów. Droga Księcia Józefa, wiodąca przez Elsterę do wiekopomnej i twórczej sławy.

NIEPODLEGŁOŚĆ—JEDYNYM CELEM

Są jednak momenty—i chyba wolno nam twierdzić, że dzisiaj taki moment w dziejach naszych przeżywamy — gdy istnieje wspólny, najważniejszy cel, jednoczący wszystkich. Dla nas takim celem jest odzyskanie niepodległości narodowej i państwowej. Jesteśmy najgłębiej przeświadczeni, że bez niej nie ma dla nas prawdziwego życia. Pamiętamy jeszcze tę ciężką wegetację za okresu poprzedniej niewoli, kiedy podległość tłumiła nasz byt, a my musieliśmy wykoszlawiać niejedno w naszej egzystencji, aby przetrwać. Istnienie niewolnika, tęskniącego przede wszystkim za swobodą. Tylko w takiej atmosferze mógł narodzić się "Konrad Wallenrod", "Kordian", chorał Ujejskiego i niektóre, jakże gorzkie strofy Konopnickiej. Jeżeli dzisiaj doktrynerzy—fantaści w rodzaju Wellsa ośmielają się zarzucać nam niedostateczny wkład do skarbnicy kultury ogólno-ludzkiej, to pomijając oczywiste nieuctwo lub złą wolę takich polemistów—stwierdzić musimy, iż najwyższe wzloty polskiego ducha istotnie nie szukały abstrakcji lub teorii powszechnych, gdyż wyżywały się w naszej rzeczywistości. Bóg wie zresztą, czy ideał wolności narodowej, tak świetnie broniony przez naszych mistrzów i powstańców, nie jest właśnie najrealniejszym wkładem do skarbów ludzkości. Że zaś opierał się na rzeczywistości, tym żywszym i prawdziwszym świecił blaskiem.

Tak czy inaczej, człowiek, któremu palą dach nad głową, mordują najbliższych, któremu zabierają język, stanowisko w świecie, którego—jak to mówią obrazowo Chińczycy—"pozbawiają twarzy", taki człowiek musi stać się monomanem idei, mieć przed sobą jeden cel i jedno pragnienie: być znowu wolnym. Czyż dziwić się można, że nie potrafi kultywować w całej pełni cnoty miłości i kochać okrutnego wroga? "Cóż myśmy winni i zaco nas tak nienawidzicie?"—pytali nieraz w ubiegłym okresie Moskale i Niemcy. Naiwne pytanie, nie wymagające odpowiedzi. Zwłaszcza obecna wojna totalna wykazuje, że na naród zaborczy wina rozkłada się w pełni, a bezcelową igraszką staje się jej stopniowanie indywidualne.

Jesteśmy więc znowu monomanami idei wolności, a kto by czuł inaczej, ten grzeszy wobec ruin Warszawy, wobec mordów, głodu i pohańbienia, wobec rozbitych rodzin, wobec poległych w walce i podczas walki. Musimy dbać o to, aby być monolitem, bez rys i nadwątleń naszej mocy. Im nas mniej w jakimś środowisku na świecie, tym krzepciej trzymać się musimy. Gdy bombardowanie zwali dom i gruzy zasypią ludność w piwnicy, nie czas na swary i spory, choć by bardzo ciekawe i zasadnicze, ale trzeba wspólnego wysiłku ramion, wspólnego, zgodnego działania, aby jak najprędzej usunąć z drogi gruzy i dobyć się na światło dzienne, na słońce, do wolnego oddechu.

I to doprowadza nas znowu do naszego punktu wyjścia w niniejszym rozważaniu.

TRZY RZECZY ZASADNICZE

Aby odwalić przytłaczające nas gruzy, a potem zrzucić kamień grobowy Polski, co jest jeszcze obowiązkiem naszego pokolenia, trzeba trzech rzeczy: kierownictwa, pracy i zgody. Kierownictwa—bo ono harmonizuje wysiłek, nadaje mu sens realny, planuje, a wreszcie wobec obcych i reprezentuje. Pracy—bo bez uczynienia z niej kanonu życia, bez wzmożenia jej do najwyższych granic nie podołamy wysiłkowi, jaki nam przypadł w udziale. Zgody—bo bez niej nie damy maximum pchnięcia w rzeczvwistość, aby drogę historii sprostować w tym kierunku, który jest pożądaniem i prawem naszego narodu.

Kierownictwo mamy. Mamy je na nasze szczęście, bo nie zawsze tak się zdarzało w dziejach walczącej Polski. Nie było go w 1830-ym, nie było w 1863-im roku. Mickiewicz ubolewał nad tym i zastanawiał się nad "człowiekiem, jakiego Polsce potrzeba. Nie korona czy mitra, nie odziedziczone tytuły muszą zdobić skroń takiego człowieka. O wolność ludzką w Polsce przecież walczymy, i to walczymy nie od dziś. Nie ma to być wódz na modłę systemów totalnych; przecież one są właśnie naszymi wrogami. Natomiast musi mieć posłuch u swoich i powagę u obcych, jaka przystoi wodzowi, prowadzącemu wojnę. Jak Clemenceau w tamtej, dzielniejszej Francji, jak Churchill w niezłomnej Wielkiej Brytanii. To jest *prawo wodza w czasie wojny*, bez którego nie można stawiać mu wymagań, bez którego ma ręce skrępowane. To jest atrybut hetmański, o jaki walczyli z niesfornymi współobywatelami najwięksi wodzowie dawnej Polski, a gdy ich nie słuchano—kładli głowy, jak Żółkiewski pod Cecorą.

Mamy kierownictwo, szczęśliwie podbudowane legalną kontynuacją władzy państwowej—o ileż lepszą sytuację, niż w tamtej wojnie światowej, gdy, jak obecnie niejeden z walczących narodów, mieliśmy tylko Komitety Narodowe. W kierownictwie tym czujemy *niezłomną wolę walki aż do zwycięstwa*, to, co jest w tej chwili dla nas wszystkich, jeżeli nie jedynie ważne, to najważniejsze. Mamy przed sobą bilans dwuletni jego czynów: odbudowanie rządu i armii dwukrotne—we Francji i w Wielkiej Brytanii, dwa wojenne sojusze—z Czechami i Sowietami, których to sojuszów konsekwencji doczekamy jeszcze niewątpliwie na szerszej, niż wojenna, platformie; wszystko to świadczy o twórczej myśli państwowej, nieustępliwej wobec trudności i umiejącej zmagać się z przeciwnościami. Jeśli sięgniemy w głąb serc naszych i sumiennie zadamy sobie pytanie, czy bilans kierownictwa jest dodatni, to za taki uznać go musimy. Choć byśmy nawet nie brali w rachubę wzrostu naszego znaczenia w tym obozie, o który jedynie nam chodzi—w obozie walczących demokracji z Wielką Brytanią na czele.

Gdy chodzi o pracę, wysiłek wojskowy postawić musimy na pierwszym miejscu. On tylko uzasadnia naszą obecność poza krajem; gdyby on był bezowocny, nie mielibyśmy prawa pretendować do miana walczących i byli byśmy tylko przedmiotem walki. Przypomnijmy sobie, jak podczas tamtej wojny świadomość o niezbędności własnego wysiłku zbrojnego torowała sobie drogę do umysłów i sumień i jak to ona wreszcie zestrzeliła wszystkich Polaków w jeden wielki naród pod bronią, po właściwej stronie frontu bojowego. Nasz wysiłek bezowocny nie był. Ani w kampanii krajowej, mimo jej tragicznych załamań w kierownictwie, ani po za granicami kraju. Norwegia i Francja, Bliski Wschód, morza i przestworza, bitwa o Wielką Brytanię i nękanie wroga w Europie, wreszcie może niebawem Rosja na swoich bezmiernych przestrzeniach — to wszystko już się liczy i liczyć się będzie. Zarówno dla nas samych i naszych przyjaciół, jak i dla naszych wrogów, czy zechcą, czy nie zechcą.

Gdy chodzi o wszelką inną pracę, nie możemy, nie mamy prawa rzucić kamieniem na nikogo. Gdziekolwiek są Polacy, wszędzie ubiegają się o możność pracy, i zawsze z tym wyliczeniem, by mogła ona przynieść korzyść polskiej sprawie. Sumiennie mówiąc, nie dużo pośród nas pasorzytuje tu na emigracji. Jeżeli są bezczynni, sami na tym cierpią, i zwykle do bezczynu zmuszają ich przemożne okoliczności. Rozwijający się coraz żywiej ruch intelektualny otworzy prawdopodobnie przed nami jeszcze szersze możliwości pracy, świętej i pożądanej, wobec prześladowania intelektu w kraju. I ta więc pozycja nie wydaje nam się źle broniona, choć tyle krytyk, nie zawsze sprawiedliwych, spowodowała.

ZGODA I DOBRA WOLA

I tu dochodzimy do punktu trzeciego, najcięższego — do zgody. Czy nie mamy sobie pod tym względem nic do zarzucenia?

Z ręką na sercu trzeba powiedzieć sobie, że tak. I że dużo. Niestety.

Mimo niewątpliwego ustalenia sobie, co jest ważne, a co drugorzędne, stajemy często do walki o drobiazgi. Upieramy się przy nich, bez poszanowania cudzych opinii, bez brania tych opinii pod uwagę. Skłonni natychmiast jesteśmy do ostrych określeń, do niesprawiedliwych sądów o ludziach. Ileż to razy słyszy się o jakiejś instytucji określenie, że "nic się tam nie robi", bez elementarnego przekonania się, jak jest rzeczywiście, dlatego tylko, że coś zrobiono nie po naszej myśli. Grzeszą tym prawie wszyscy, wnosząc w życie przykry pierwiastek nieposzanowania ideowej pracy ludzkiej. Hamuje to niezmiernie robotę. Rozgorycza ludzi. Irytuje. Słabszych nawet niekiedy łamie.

Tak samo—co jest jeszcze gorsze—bywamy zazdrośni o cudzą pracę i jej wyniki. Któż nie spotkał się na naszym gruncie z próbami utrącania inicjatywy, przywłaszczania sobie dokonań, z aroganckim "besserwisserstwem", które ze wszech miar zasługuje na swoje niemieckie brzmienie. Może ktoś powiedzieć, że to zdarza się wszędzie na świecie. Zapewne, ale w naszym światku, który ma przed sobą zadania, jak na swoje możliwości, gigantyczne, jest to bardzo zwielokrotniony grzech.

Gdybyśmy mogli, to nawoływali byśmy do stworzenia bratniego porozumienia, jakiejś "ligi dobrej woli", mającej za zadanie walczenie z niezgodą wśród rodaków.

Wobec wspólnej idei i wspólnej pracy, wzajemne poszanowanie i dobra zgoda są nam koniecznie potrzebne.

Antoni Bogusławski

Waszą godną postawą stwierdziliście raz jeszcze, że niema dla Polaka takiej ofiary, jakiej by on nie złożył w razie potrzeby na Ołtarzu Ojczyzny. Z tych ofiar powstanie Polska demokratyczna i sprawiedliwa dla wszystkich swoich obywateli, oparta na nowych zasadach politycznych i społecznych. Rządzić w Niej będzie naród. O stanowisku każdego obywatela decydować będą wyłącznie jego wartości moralne i fachowe; jego gotowość do pracy oraz poświęceń na rzecz całego społeczeństwa.

Wojna obecna jest zmaganiem dwóch wykluczających się wzajemnie światów. Ten z nich, który przeczy wolności człowieka, wolności narodów—rozsypie się w proch. A w tym, który zwycięży, nie będzie miejsca dla sprawcy wszelkiego zła—Hitlera i jego Niemiec.

Zwycięstwo jest dzisiaj pewniejsze niż kiedykolwiek, tymbardziej, że zależy ono obecnie wyłącznie od naszej czujności, naszej pracy i od naszego poświęcenia.

Walka z bronią w ręku na froncie wschodnim stutysięcznej armii polskiej będzie nowym wkładem Polski w tę wojnę, o wielkim na przyszłość znaczeniu politycznym. Zostanie on osiągnięty, dzięki Waszemu zapałowi i patriotyzmowi.

Z przemówienia Generała Władysława Sikorskiego do Polaków w Rosji

Szkic sytuacyjny

KIJÓW-LENINGRAD

Po trzech miesiącach walk, na wstępie czwartej już bodaj skolei ofenzywy niemieckiej, pada Kijów. Nie mogąc uzyskać sukcesu w stosunku do Leningradu, który zdaje się znajdować w półkolu otoczenia, armie niemieckie dla uświetnienia trzech miesięcy trwania kampanji wschodniej szturmują stolicę Ukrainy.

Strata Kijowa nie jest tak poważna jak strata n.p. Charkowa, w stronę którego armie niemieckie działające na południu najwidoczniej zdążają. *Charków* jest większym ośrodkiem przemysłowym aniżeli Kijów. Zagłębie donieckie, gdzie koncentruje się tak poważny procent przemysłu wojennego Sowietów, jest zagrożone parciem wojsk niemieckich. Ponieważ Dniepr został sforsowany pod Kremenczugiem, nasuwa się wniosek, że zapora potężnej rzeki *pękła* i że nie stanowi już więcej przeszkody na drodze marszu niemieckiego. *Krym* został odcięty a *Sebastopol* przygotowuje się na długi opór, który stawić może ta potężna twierdza rosyjska.

Leningrad broni się *znakomicie*. Wydaje się, że sztab niemiecki chciałby dostać w swoje ręce Leningrad możliwie najmniej zniszczony, ażeby olbrzymie to miasto przekształcić na *leża zimowe* dla armii operującej na skrzydle północnym. Zamiar ten się nie udaje: trzeba zdobywać piędź po piędzi, pierścień fortyfikacyjny za pierścieniem, jedną po drugiej zapory i pułapki. Jest to robota długa i żmudna, kosztowna w straty w ludziach. Leningrad broniony bagnami, lagunami, morzem, posiadający najbardziej *uświadomiony proletariat* Rosji, centrum wielkich zakładów jak Putiłowskie, zamienia się w drugą Warszawę. Warunki naturalne ma nieskończenie lepsze od Warszawy, lepsze od *Madrytu*.

Obrona Leningradu winna potrwać długo. Jest ona bardzo potrzebna dla całości operacji rosyjskich, jest—*konieczna*.

FINOWIE MUSZĄ WALCZYĆ

Przez czas jakiś obiegały świat pogłoski, że Finowie chcieliby dać spokój dalszej walce i stanąwszy na granicy swojej z przed wojny sowiecko-fińskiej zawiesić kampanię a może nawet posunąć się do zawarcia odrębnego pokoju z Moskwą. Tego rodzaju pogłoski mogły nawet zdradzać życzenia i ochotę Finów, ale nie odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy. *Rzesza nie wypuści ze swoich rąk Finlandii.* Wojska fińskie potrzebne są Niemcom dla operacji na dalekiej Północy, w tundrze, wokoło jeziora Ilmeń,—będą potrzebne szczególnie w zimie, albowiem posiadają w nieporównanym stopniu technikę walki na śniegu, w surowej, bezlitosnej zimie. Finowie nie mogą liczyć na wakacje od walki—przed wiosną 1942.

Dlatego, chcąc nie chcąc, pchają się coraz dalej ku Leningradowi, będą pomagać w ataku na Murmańsk. W tej wojnie ani Finlandia ani Włochy nie będą sobie mogły pozwolić *na osobny pokój* bez zgody Rzeszy. Tej zgody zaś Berlin nie daje i dawać nie zamierza.

ZIMA 1941, *WIOSNA* 1942

Kampania sowiecka zanosi się na zimę, przejdzie,—jeżeli wolno sądzić i prorokować w dzisiejszych filmowych czasach—na wiosnę 1942. Są to fakty posiadające olbrzymie wprost znaczenie dla całego planu wojny; tak też pojmuje te rzeczy trzeźwa opinia brytyjska.

Nawet jeżeli przyjmiemy, że armie sowieckie będą się cofać w głąb Rosji, to wydaje się, że armie na *Kaukazie* i na Uralu trwają i trwać będą na swoich stanowiskach i że dojście nawet do Wołgi nie daje jeszcze Rzeszy oczekiwanego zwycięstwa. Przemysł poduralski zostanie niewątpliwie wzmocniony napływem robotników z innych ośrodków i Rosja przyjmie nowe rozprawy na linii Uralu. *Ropa kaukaska* nie wpadnie w ręce Niemców—nad tym czuwać będzie nietylko armia sowiecka ale i wojska brytyjskie, które na szczęście są już w *Teheranie*.

POMOC DLA ROSJI

Pomoc dla Rosji płynie i płynąć będzie i życzyć sobie należy, ażeby była *jaknajbardziej wydatna*. Stany Zjd. ogłaszają, że 300 maszyn lotniczych już do Rosji poszło. Pójdą nowe. Idą *maszyny* angielskie. Pójdą *czołgi* brytyjskie. Misje anglo-amerykańskie w Moskwie będą planować daleko, na wiosnę i lato 1942.

Wszystko to wypływa i opiera się na jasnym wniosku: front na Wschodzie m u s i być utrzymany.

LOS TURCJI

Rzeszy śpieszy się do sukcesu w Rosji i dlatego pójdzie zapewne na poważne ryzyka. Protesty sowieckie pod adresem Bułgarii napewno nie są bez "ale": Bułgaria zamieniona jest w bazę ataku. Atak taki pójdzie zapewne na Turcję, lub przez Turcję.

Los Turcji może się zdecydować jeszcze w tym miesiącu. Wydaje się, że druga rola przypadnie tutaj *Włochom*. Armia włoska liczy sobie dalej 3 do 4 milionów bagnetów i zdaje się, że Rzesza chciałaby użyć tej armji w razie czego przeciwko Turcji. Podobnie w akcji na Morzu Czarnym pechowa flota włoska, której nie wiedzie się na Morzu Śródziemnym, miałaby pokazać swoje zalety i bitność przeciwko flocie sowieckiej. Okręty podwodne Włochów, które nie spisywały się na Morzu Śródziemnym, miałyby zacząć się uwijać na Morzu Czarnym.

Do tego wszystkiego potrzebna jest *zgoda* Turcji. Czy Turcja zgodzi się na przemarsz wojsk włosko-niemieckich przez jej obszar, czy też przyjmie walkę? Czy przepuści jednostki włoskie i pewne jednostki niemieckie przez Dardanele, czy odpowie ogniem dział?

Oto pytanie nader ważne.

W LIBII

Walki jakie rozpaliły się w Libji noszą charakter raczej *zasłony dymnej*, aniżeli uczciwej akcji. Wydaje się, że Niemcy starają się upozorować jakąś akcję zaczepną i udają ofenzywę. W gruncie rzeczy jednak mają oczy skierowane na *Turcję* i na *Syrię*, gdzie sprzymierzeni gromadzą coraz więcej wojsk.

Narazie Libia jest przedmiotem manewrów, ale ofenzywa brytyjska winna przyjść najszybciej, ażeby raz wreszcie *wyczyścić* Afrykę z Niemców i Włochów. Ognisko libijskie musi zniknąć, w przeciwnym razie będzie zawsze groźbą dla kontynentu afrykańskiego.

FLOTA AMERYKAŃSKA PATROLUJE

Na szlakach atlantyckich krząta się *flota amerykańska*. Jest na szlaku do Islandii, pilnuje obszarów wokoło kanału panamskiego. Roboty jest wiele, a gotowość floty amerykańskiej do strzelania do piratów podwodnych i nawodnych, rzetelna.

Należy oczekiwać nowych zajść na Oceanach, nowych incydentów w stylu "*Greera*." Jakie z tego wysnuje wnioski Berlin? Wydaje się, że gruboskórność Berlina, gdy trzeba, jest niebywała. Może zatem Rzesza udawać przez długi okres czasu, że się właściwie nic nie zmieniło, może zakładać protesty, krzyczeć, wrzeszczeć, ale—nie wypowiadać wojny.

Możemy być zatem świadkami niemiecko - amerykańskich akcji wojennych na Oceanach bez wypowiedzenia wojny. Długo ta zabawa nie powinna potrwać, ale niewiadomo czy Ameryka wejdzie do wojny w tym roku.

Wejście Ameryki do wojny byłoby jednak—jak to jest jasnym od chwili upadku Francji—faktem *najbardziej pożądanym*. Znaczenia moralnego tego wydarzenia nie da się wymierzyć. Mielibyśmy do czynienia z jasną sytuacją. Mielibyśmy wtedy USA w wojnie, a więc i produkcja amerykańska ruszyłaby z kopyta. Państwa demokratyczne *muszą* być bowiem w wojnie, ażeby nastawić swoją maszynę wytwórczą. I dlatego Stany w wojnie być muszą, ażeby wojnę tę skrócić. Inaczej, jak powiedział niedawno premier Kanady, Mackenzie King, "wojna przeciągnie się niebywale, zaniesie się na lata."

Londyn, 21 września 1941.

Zbigniew Grabowski

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11—20 IX. 1941 r.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:	Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych — 13	15	36
uszkodzonych — 2		
prawdopodobnych — 1		
	Główne cele: Brest, Le Havre, Cherbourg, Ostenda.	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 20.IX. 41r.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:	Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych — 364	247	1082
prawdopodobnych — 96		
uskodzonych — 45		
505		

Niemcy nadwołżańscy

Dnia 8 września 1941 roku rząd sowiecki postanowił przesiedlić mieszkańców nadwołżańskiej republiki w okolice Nowosybirska i Omska w Syberii, w góry Ałtajskie i do republiki Kazakstańskiej w Azji Centralnej. Jako powód tego przesiedlenia podany został fakt, że w republice tej odkryto dziesiątki tysięcy niemieckich szpiegów i sabotażystów.

Wiadomość ta nie obudziła szerszego echa. A jest to jednak jedna z najbardziej sensacyjnych i wielkiej wagi wiadomości wojny obecnej, w której nie brak przecież było sensacji.

Cóż to była autonomiczna republika Niemców nadwołżańskich? W latach 1764-1767 Katarzyna II sprowadziła 8000 rodzin niemieckich z Szwabii i osiedliła ich na wybrzeżach Wołgi w celu zaludnienia kraju, spustoszonego przez tatarów. Potomkowie tych kolonistów nie zasymilowali się z ludnością okoliczną. Zachowali swą religię, zachowali swój język.

Tak dalece stanowili oni zamkniętą w sobie jednostkę, że w roku 1924 rząd sowiecki terytorium, zasiedlone przez nich, wydzielił w odrębną jednostkę, Sowiecką republikę Niemców nadwołżańskich, obejmującą około 27000 kilometrów kwadratowych, z ludnością ogólną 600.000, w czym 400.000 Niemców. W republice tej Niemcy mieli oczywiście wszystkie prawa. Język niemiecki był językiem urzędowym. W Marksstadzie (ongi Katharinastadzie) istniało niemieckie seminarium nauczycielskie, w Engelsie (ongi Pokrowsku) niemiecki uniwersytet. Ekonomicznie również działo się Niemcom nadwołżańskim dobrze. Obok rolnictwa, które pozostało podstawą ekonomiczną kraju, zaczął się, po rewolucji bolszewickiej, rozwijać także i przemysł. Powstały fabryki włókiennicze i fabryki konserw mięsnych.

Niemcy hitlerowskie, a nawet i przedhitlerowskie nie zapomniały o Niemcach nadwołżańskich. Pojawiały się na półkach księgarskich książki, poświęcone ich losowi, z podkreśleniem ich samotnej walki o niemieckość. Wydawało się jednak, że praca agitatorów niemieckich na tym terytorium mało ma szans. Od dwustu lat ci Niemcy byli mieszkańcami Rosji. Rosja porewolucyjna dała im nietylko równość obywatelską, ale nawet państwowość prawie że własną, w każdym razie jaknajszerszą autonomię nietylko kulturalną, ale i polityczną. Dalej, cała młodzież od lat dwudziestu kształcona była w szkołach komunistycznych, takich samych szkołach jak te, które potrafiły młodzież rosyjską, czy ukraińską urobić stuprocentowo na obrońców obecnego systemu rosyjskiego. Wreszcie ci Niemcy nadwołżańscy oddzieleni byli od swych rodaków w Rzeszy tysiącami kilometrów; wydawało się, że o jakimkolwiek bezpośrednim kontakcie z Niemcami, o bezpośrednim zaszczepianiu ideologii hitlerowskiej mowy być nie może.

A jednak . . .

W chwili wybuchu wojny, Niemcy nadwołżańscy podobnie jak i inne republiki sowieckie posłały do Moskwy zapewnienie gotowości do walki, mówili tym samym językiem, co i wszyscy mieszkańcy Sowietów.

A jednak . . .

Jeżeli rząd sowiecki zdecydował się dzisiaj, w czasie wojny, w którym tabor kolejowy jest rzeczą drogocenną, na natychmiastową eksportację kilkuset tysięcy ludzi, jeżeli rząd sowiecki, który zawsze podkreślał, że republiki narodowe cieszą się wszystkimi prawami i są równorzędnymi partnerami w Unii Sowieckiej, zdecydował się na likwidację jednej z takich republik i na wysiedlenie jej mieszkańców nie zwartą grupą, ale właśnie na rozsianie ich po różnych okolicach Rosji Azjatyckiej, to niewątpliwie decyzja taka nie mogła być powzięta z lekkim sercem. Niewątpliwie rząd sowiecki musiał mieć zupełnie pewne dowody, że nie jednostki—bo dla załatwienia się z jednostkami, a nawet setkami szpiegów wystarcza policja i GPU—ale wprost olbrzymie masy Niemców nadwołżańskich stanowiły piątą kolumnę, że ci obywatele rosyjscy od lat dwustu, a równouprawnieni obywatele sowieccy w ostatniej generacji, nietylko nie zasymilowali się narodowo, ale pozostali w duszy obywatelami niemieckimi, wiernymi ojczyźnie neimieckiej.

Ci Niemcy, wychowani w szkole sowieckiej, która szerzyła nienawiść do faszyzmu, poczuli się w chwili decydującej, bliższymi Niemca Hitlera i Niemiec hitlerowskich, aniżeli "ojczyzny sowieckiej."

Jakiż jest morał tej historji?

Lewica brytyjska walczy zawzięcie z tym, co nazywa "Vansittartyzmem." Wiadomo. że Sir Robert — dzisiaj Lord — Vansittart wydał książeczkę "Black Record," w której przeprowadza tezę, że jest niebezpieczne przeprowadzanie rozróżnienia między "dobrymi Niemcami" a hitlerowcami, gdyż Hitler istotnie reprezentuje całe Niemcy. Większość polityków lewicowych brytyjskich natomiast twierdzi, że w rzeczywistości Niemcy były pierwszym narodem podbitym przez Hitlera, i że jak tylko reżim hitlerowski zostanie obalony, to przyjdą do głosu siły demokratyczne, będące istotną większością, a które dziś zmuszone są milczeć pod terrorem Gestapo.

Historia Niemców nadwołżańskich usprawiedliwia stuprocentowo tezę Vansittartowską. Oto bowiem była grupa Niemców, nietylko nie będąca pod terrorem Gestapo, ale dla której wręcz przeciwnie wyznawanie hitleryzmu groziło największymi niebezpieczeństwami. Oto była generacja Niemców, nietylko nie wychowana w teorii Herrenvolku, w teorii faszyzmu, ale wychowana w duchu międzynarodowym, w duchu rewolucji komunistycznej.

I mimo to wszystko, w chwili decydującej, w tej zbiorowości niemieckiej zwyciężył hitleryzm. Nie znaczy to oczywiście, by naród niemiecki na wieki wieków miał być jedynie narodem drapieżników i zdobywców. Charaktery narodowe mogą ulegać zmianie. Nie znaczy to, by nie było między Niemcami nawet dzisiaj jednostek wartościowych społecznie. Były takie między ofiarami obozów koncentracyjnych, są takie na emigracji a zapewne i w robocie podziemnej w samych Niemczech.

Ale są to jednostki. Ten pokój zaś, który będziemy zawierali, a którego naczelnym celem będzie uniknięcie nowej wojny, nie może się liczyć ani z jednostkami, ani ze zmianą charakteru niemieckiego, która nastąpi może za lat sto. Będzie musiał przyjąć za punkt wyjścia Niemcy takie, jakimi są dzisiaj, jakimi je urobiła tradycja wiekowa.

I pod tym względem historia Niemców nadwołżańskich będzie elementem, nad którym niepodobna będzie przejść do porządku dziennego.

Czesław Poznański

Król bratniego narodu wśród nas



Ciemna noc styczniowa. Wiatr szarpie mrozem policzki, głucho wyje w drzewach. Przeziera jaśniej szarawa plama zamarzniętej rzeki. Zdąża do niej cichym, pełzającym ruchem wąż postaci ludzkich. Rozglądają się trwożliwie na wszystkie strony. Szybko ześlizgują się na lód i walą na przód, co tchu.

Przeszli. Cisza—nikt ich nie zauważył. Liczą głowy. Trzydziestu: Wszyscy. Odetchnęli z ulgą.

Nagle ciszę rozrywa:

—Stój! Kto idzie?



—Polacy.

Ten styczeń, to styczeń 1940 roku. Ta rzeka, to Drina.

—Skąd?—Z Węgier.

Dlaczego?—Obóz, brak pracy, złe obchodzenie się.

Wojskowi?—Nic podobnego, sami cywile.

Dokąd?—Do Francji.—Na poszukiwanie pracy, dorzuca ktoś śpiesznie.

Srogie spojrzenia: No dobrze, to się sprawdzi.

Ciepła izba. Srogi wachmistrz jugosłowiańskiej straży granicznej rozdaje wrzącą herbatę i świeży, smaczny chleb z masłem.

Nie zmieniając marsa na twarzy pyta: Kto pan jest?—Kolejarz. A pan? Inżynier. A ten? Kreślarz. A ten? Student. A tamten? Szofer. I tak wszystkich. Protokół spisany. Proszę podpisać! I ciszej: Dlaczego pan, panie poruczniku jest komendantem tego transportu, a nie jeden z tamtych panów kapitanów? Jaki kapitan? Jaki porucznik? No dobrze, to się sprawdzi.

Koleją do Białogrodu. Ponure więzienie. Znowu wraca beznadziejność zamknięcia. Rano wyprowadzili dwóch, którzy nie wrócili.

Tylne drzwi więzienia prowadzą do gimnazjum: "Jak chłopcy będą wychodzić ze szkoły, wciśnijcie się między nich. Droga do poselstwa polskiego na lewo a potym druga ulica na prawo."

I tak kolejno wszystkich.

Tego się nie zapomina.

* * *

—Prezentuj broń!

Z wagonu wysiada na peron stacyjny szkockiego miasteczka J. K. Mość Piotr II, Król Jugosławii. Młodego monarchę wita dowódca I korpusu wojsk polskich, po czym przedstawia Mu wyższych oficerów swego sztabu. Za królem postępują generał premier Simović, major adiutant królewski i dwóch dziennikarzy. Dowódca szwadronu honorowego wystawionego przez Dywizjon Rozpoznawczy składa raport. Przy dźwiękach hymnu jugosłowiańskiego odegranego przez orkiestrę "Czarnej Brygady," J.K.M. przechodzi przed frontem szwadronu.

Poprzez lufę karabinu, wyprężony st. ułan M. wiedzie wzrokiem za młodocianą postacią Króla w mundurze generała lotnictwa. Żałuje, że nie można zapytać o tego żandarma z Belgradu, że nie można opowiedzieć o tym kolejarzu, o tej czarnej, grubej sklepiczarce, co to nie chciała przyjąć zapłaty od Polaków. . . .

Tymczasem Król już odjechał. W drodze do rezydencji P. Prezydenta R.P. towarzyszy Mu, przydzielony do Jego osoby, wyższy oficer 1 Brygady Strzelców. Przed wojną był on attaché wojskowym poselstwa R.P. w Białogrodzie /. . . na lewo a potym druga ulica na prawo . . ./.

Dostojnego Gościa wita u wejścia do zamku P. Prezydent R. P. Wkrótce przybywa Naczelny Wódz, Generał Sikorski. Na tle pięknego, starego parku J. K. Mość prowadzi ożywioną rozmowę z P. Prezydentem R. P., Generałem Simovićem i Wodzem Naczelnym. Swobodne rozmowy nawiązują się pomiędzy osobami obu świt.

Tego samego dnia J. K. M. i P. Prezydent R. P. zwiedzili w Edinburghu stary zamek i mauzoleum dla poległych w Wielkiej Wojnie.

Następnego dnia Król Piotr II i P. Prezydent R.P. ze swymi świtami, przybyli na teren 1 Brygady Strzelców, gdzie powitał ich Naczelny Wódz w towarzystwie generałów i wyższych oficerów brytyjskich i polskich.

Ze wzgórza roztacza się szeroki widok na szkockie pagórki. Z tyłu znajduje się "nieprzyjaciel". Zza grzbietu wzgórz ma wyjść natarcie. Przygotowanie artyleryjskie. Pociski padają bezustannie na pozycje nieprzyjacielskie. Do huku artylerii dołącza się nagle lotnictwo, bombarduje nieprzyjaciela. Dym przesłania całe pole widzenia. Padają rozkazy, dzwonią telefony, nadchodzą meldunki.

Po chwili opadające dymy odsłaniają wzgórze, na którym ukazują się pierwsze czołgi. W oddali, z lasu wyłaniają się "carriersy" z karabinami maszynowymi. Król ze skupieniem słucha Naczelnego Wodza, który tłumaczy Mu przebieg działań.

Jakby z ziemi wyrosła, ukazuje się nacierająca piechota. Z okrzykami nacierających mieszają się dźwięki trąbki: ćwiczenia skończone. Oddziały zbierają się. Przechodzącego żołnierza, który brał udział w natarciu, J. K. Mość zatrzymuje i w życzliwej rozmowie dowiaduje się o jego drodze do Szkocji, która też prowadziła przez Jugosławię.

Defilada. Przed Królem przejeżdżają całkowicie zmotoryzowane oddziały 1 Brygady Strzelców.

Wkrótce orszak królewski znajduje się już na wybrzeżu, gdzie z zainteresowaniem przygląda się urządzeniom obronnym odcinka. Interesuje się żywo celnością ognia i sam sprawdza celownik moździerza.

Przed żołnierskim śniadaniem, w pięknie udekorowanym barakuświetlicy jednego z batalionów, król przyjmuje nadaną Mu odznakę batalionową i wpisuje się do księgi pamiątkowej.

Podczas śniadania Naczelny Wódz Generał Sikorski wyraziwszy głęboką wiarę w trwałość przyjaźni jugosłowiańsko-polskiej, wznosi toast na cześć J. K. Mości Piotra II Karadżeordżewicza. W serdecznych, ciepłych słowach odpowiada mu Generał Simović, mówiąc m. i.

"Po narodzie polskim, który pierwszy przeszedł tragiczny los wypadków, my jako drudzy przeżyliśmy ten sam los. Dlatego jednak dzisiaj oczekujemy lepszych czasów, pełni wiary w lepszą przyszłość. Jego Królewska Mość Piotr II zachwycony jest wszystkim co widział dziś u was, tak samo jak i nadziejami, które pokładacie w waszej armii. Życząc najlepszego sukcesu tej waszej armii i całemu polskiemu narodowi i wierząc w niedalekie ponowne odrodzenie rycerskiej Polski i naszej ukochanej ojczyzny Jugosławii—w imieniu Jego Królewskiej Mości Piotra II-go pozdrawiam Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza jako tego, który uosabia ideę oswobodzenia miłej nam Polski i bratniego nam narodu.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej—niech żyje!"

P. Prezydent R. P. wznosi toast: J. K. Mość Król Jerzy VI niech żyje!

Samochody orszaku królewskiego zdążają obecnie do jednego



z obozów 10 Brygady Kawalerii Pancernej, gdzie Król dokonał przeglądu dwóch pułków kontynuujących tradycje 10-go i 24 -go pułków ułanów. Przed Królem pochyliły się sztandary pułkowe, przywiezione z kraju.

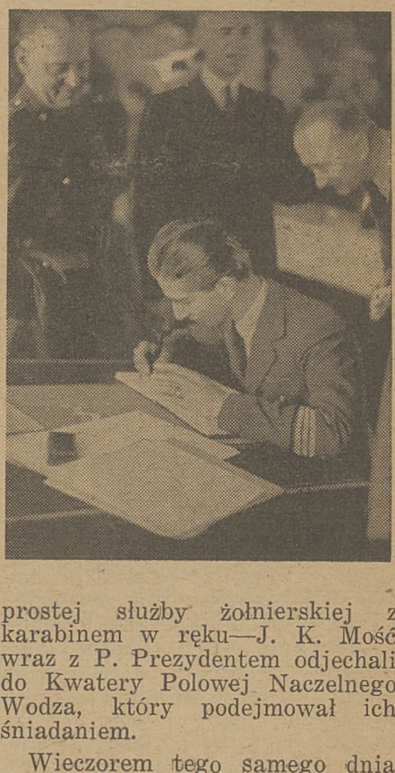
Po przeglądzie, dowódca Brygady podejmował Dostojnych Gości filiżanką herbaty w przybranym zielenią i kwiatami namiocie. Goście jugosłowiańscy byli głęboko wzruszeni zgotowaną im przez chór żołnierski niespodzianką. Była nią pieśń jugosłowiańska "Hej trębaczu". Pieśń tę zasłyszał jeden z ułanów podczas swego pobytu w Jugosławii w drodze do wojska polskiego we Francji. Odtworzył ją z pamięci i przysposobił na chór. Pierwsze takty tej pieśni poprzedziły historyczną zapowiedź radia białogrodzkiego o objęciu rządów przez generała Simovića—zapowiedź bohaterskiej, tradycyjnej epopei narodu jugosłowiańskiego. Opowiedział o tym piękną polszczyzną dziennikarz jugosłowiański, były słuchacz C. I. W. F. w Warszawie.

Następnie król przyjął defiladę oddziałów, poczym udał się na teren ćwiczeń jednego z pułków. Po dokonaniu przeglądu. J. K. Mość zainteresował się szczególnie nowymi, ciężkimi czołgami i wsiadłszy do jednego z nich, słuchał z zaciekawieniem wyjaśnień udzielanych przez załogę.

Zająwszy miejsce na trybunie, J. K. Mość w towarzystwie P. Prezydenta R. P., generała Simovića i Naczelnego Wodza przyjął defiladę batalionu czołgów i piechoty zmotoryzowanej. Zebrany dookoła trybuny tłum miejscowej ludności wiwatował żywo na cześć Gości i defilujących oddziałów. Po zakończeniu defilady J. K. Mość pożegnał się serdecznie z Naczelnym Wodzem i w towarzystwie P. Prezydenta udał się do jego rezydencji.

Dnia 10 września rano stare mury uniwersytetu St. Andrews, gościły młodego Monarchę. Atmosfera krużganków wiekowej uczelni, nie była zapewne obcą Królowi-wychowankowi starych szkół brytyjskich. Po zakończeniu zwiedzania zabytków uroczego, starego miasta, Goście udali się do domu Sir Irvine 'a, głowy uniwersytetu, gdzie przy lampce wina Król-student spędził kilka chwil na miłej rozmowie z profesorami.

Niedługo potym J. K. Mość przyjmował raport od dowódcy baterii nadbrzeżnej, gdzie zademonstrowano Mu działanie jednego z ciężkich dział. Po wyrażeniu słów pełnych pochwały dla żołnierza polskiego, a w szczególności dla tych oficerów, którzy chcąc przysłużyć się ojczyźnie, zdecydowali się na pełnienie



prostej służby żołnierskiej z karabinem w ręku—J. K. Mość wraz z P. Prezydentem odjechali do Kwatery Polowej Naczelnego Wodza, który podejmował ich śniadaniem.

Wieczorem tego samego dnia J. K. Mość opuścił rezydencję P. Prezydenta R. P. powracając do Anglii. Odjeżdżającego Króla żegnali nietylko P. Prezydent R. P. i Naczelny Wódz, ale towarzyszyła jego odjazdowi serdeczność całego wojska polskiego.

Serdeczność ta, z którą Wojsko Polskie w Szkocji witało i żegnało młodego Króla Jugosławii miała w sobie coś więcej, niż oczywistą życzliwość dla godnego przedstawiciela zaprzyjaźnionego i sojuszniczego narodu. Witały go i żegnały nie tylko: "prezentuj broń!" i defilady, ale przede wszystkim serdeczne, uśmiechnięte, życzliwe i wdzięczne spojrzenia wszystkich żołnierzy, wszystkich nas, którzyśmy, w najsmutniejszej naszej wędrówce na schyłku 1939 i początku 1940 roku przemierzali koleją, czy pieszo gościnną ziemię bratniej Jugosławii.

I jeśli dla wszystkich ludzi miłujących wolność, Jugosławia jest uosobieniem narodu mężnego, rycerskiego i bohaterskiego, to dla nas jest ten kraj jeszcze ponadto przypomnieniem życzliwości, serdeczności, dobrych oczu i mocnych uścisków przyjacielskich rąk, podanych w najcięższej chwili.

Tego się nie zapomina.

Henryk Sulerzycki



Niespodzianka wojny ruchowej

Otulony szczelnie w pelerynę, zsuwam się głęboko w wygodne poduszki moto-kosza. Moja "kołyska" łagodnie resoruje, sunąc po błyszczącej w poświacie księżyca, świetnej szosie asfaltowej. Zwarta kolumna motocykli wali z hałasem w las wysokopienny. Znowu zapadam w półsen. W podświadomości kojarzą się obrazy i wspomnienia. Wciągam w płuca aromat żywicy—leniwa myśl sączy się przez otępiały zmęczeniem mózg. Gdzie jesteśmy?—Nie chcę podnosić ciężkich powiek—dobra szosa—pewno dojeżdżamy do Myślenic. Spoglądam przez przymrużone rzęsy—wysokie drzewa. Nie, to my jedziemy nie z Zakopanego, ale z Wisły—to lasy pszczyńskie.—Dlaczego ten Władek tak wolno jedzie? Przecież już musi być bardzo późno—trzeba go zmienić przy kierownicy.

Otwieram szerzej oczy i zamiast spodziewanej sylwetki brata widzę profil "Maciusia," ginący pod skórzaną podpinką hełmu. Ciężki kamień nagle przygniótł mi serce. Nie, to nie mój jedyny brat—on gnije gdzieś w obozie koncentracyjnym, nie, to nie szosa, którą setki razy znaczyły koła mojego wozu—to obca, nieznana mi droga, wiodąca w mroczną przyszłość.

Jak na taśmie filmu amerykańskiego przemknęły mi przez mózg obrazy zakończonej przed paru zaledwie godzinami bitwy pod Champeaubert. Tanki—Dorniery —krew.

Patrzę znowu na "Maciusia." Na bladej twarzyczce czytam ogromne zmęczenie—biedny chłopczyna. Wprawdzie nie mój brat, którego obecność niedawno wyczuwałem w mirażu sennym, a jednak człowiek, który przed paru zaledwie godzinami uratował mi życie. Łączą nas także silne węzły —koleżeństwo, braterstwo broni, —a jutro może wspólna mogiła.

Nieuregulowane gaźniki naszych motorów strzelają, napełniając zgiełkiem czarny, zda się wymarły las.

Dotychczas opustoszała zupełnie szosa zaczyna się ożywiać. Od czasu do czasu widzę ciemne postacie, umykające w pośpiechu w gęstwinę przydrożnych krzaków. W snopie zaświeconego na mgnienie oka reflektora czołowego motoru widzę znikający za drzewami wysoki, sznurowany but francuski i złoty galon. Chwała Bogu! To Francuzi zwiewają przed motocyklistami. Wzięto nas za "bochów." Jedziemy dalej— widzimy już całe gromady Francuzów, zapadających w las.

Jakaś większa grupa zaczyna do nas strzelać—kule karabinowe gwiżdżą. Szybka orientacja dowódcy ratuje przykrą sytuację. Błyskawiczny znak latarką i czołowy motor nabiera szybkości,—gaz —gaz. Pędzimy na złamanie karku. Już daleko za nami odgłosy salwy—po chwili i one ustają. Przystajemy. Strat żadnych nie ma, tylko jeden koszyk nieszkodliwie przestrzelony.

Patrzę z podziwem na naszego porucznika. Zrozumiałe w takim wypadku zatrzymanie kolumny i tłumaczenie się, że jesteśmy Polakami, byłoby nas napewno kosztowało niejedno życie ludzkie.

Chwilę odpoczywamy. Porucznik, widząc nasze zmęczenie, oświadcza, że za kilkanaście minut dojedziemy na miejsce postoju dowódcy brygady gen. M. i że prawdopodobnie będziemy mogli dzień —dwa odpocząć. Widzę radość na wszystkich twarzach; gonimy już resztkami sił.

Dochodzi druga godzina nad ranem. Księżyc chowa się za chmurami, z trudem rozróżniam sylwetki motorów i towarzyszy. Droga pnie się pod stromą górę, mijamy długi żywopłot, kępę drzew i wyjeżdżamy przed obszerny zajazd. W odległości około 35—40 m. od siebie widzę wiszącą, zdaje się, na drzewie latarnię, z której sączy się mdłe, ciemno-czerwone światło, w głębi majaczą kontury jakiejś budowli.

Przystajemy. Wyskakuję z przyczepki. Jesteśmy na miejscu. Wspaniale! Za pół godziny będziemy pić gorącą kawę i spać, spać. Życie z perspektywą gorącej strawy i wiązki słomy pod głową jest jednak wcale piękne—mówię do "Maciusia," niegdyś wychuchanego jedynaka, "maminsynka."

Motor nasz, w ciemnościach egipskich źle ustawiony przez "Maciusia," zsuwa się do płytkiego rowu po prawej stronie szosy. Por. J. szybkim, energicznym krokiem zbliża się z plut. J. i ul. L. do latarni. W tem błysk—huk i, jak grom z jasnego nieba, przecina powietrze pocisk z armatki ppanc., oddany z odległości zaledwie kilku metrów do naszego dowódcy. W ułamku sekundy światła równocześnie wystrzelonej w górę czerwonej rakiety widzę przerażone niespodzianką twarze kolegów i hełm, lecący z głowy porucznika. Długa jak wieczność sekunda ciszy, jakby oczekiwanie serii z ckm nieprzyjaciela i ochrypły głos porucznika: "Zawracać motory."

Usiłuję z "Maciusiem" wypchnąć motocykl z rowu—nie możemy dać rady. Odruchowo wyciągam r.k.m. z przyczepki, ładuję i wrzeszczę: "wspomóc ogniem, nie mogę wyciągnąć motoru." Huk warczących już silników zagłusza moje słowa. Nie mogę zrozumieć dlaczego Niemcy nie strzelają. Jesteśmy przecież naprzeciw nich jak na dłoni, w odległości zaledwie 30—40 m. Jedna seria i będzie koniec. Motory jeden za drugim znikają za zakrętem. Z ostatniego wyskakuje z gołą głową porucznik i bez słowa pomaga nam wypchnąć maszynę z rowu. W parę sekund później, nie zapalając motoru, toczymy się już po pochyłości szosy w dół.

W ciągu zaledwie 6 godzin po raz drugi przekonuję się, że nasz dowódca to nie tylko wzór odwagi żołnierskiej w walce, to także człowiek, który ryzykuje życie, aby uratować podkomendnego. Z takim oficerem żołnierz pójdzie wszędzie, nawet na pewną śmierć. Nie dziwię się zupełnie, że por. J. we wrześniu 1939 r. sześciokrotnie ranny, wyniesiony został z piekielnego ognia artylerii i broni maszynowej nieprzyjaciela przez swych żołnierzy, a następnie na ich barkach kilkadziesiąt kilometrów przeniesiony do granicy polsko-litewskiej.

Upłynęło kilkanaście sekund. Jesteśmy już za zakrętem. Z przerażeniem stwierdzam, że w przyczepce nie ma mojego r.k.m. Zatrzymuję "Maciusia" i ze wstydem wyznaję: "Panie Poruczniku, zdaje się, że zapomniałem r.k.m. na stanowisku. Mam wrócić?" — "Wrócić" — brzmi rozkaz. Idę—księżyc jak na złość zaczyna znowu przezierać przez białe obłoki. Zdaję sobie sprawę, że chyba tylko cud może mnie uratować, gdy wyjdę na 40 m. od nieprzyjaciela na jasną już teraz zupełnie plamę szosy.

Mijam ostatnie drzewa. Długi ślad i jestem w miejscu, gdzie utkwił nasz motocykl. Szukam gorączkowo mojej maszynki—nie ma. Dziwię się znowu, że nikt do mnie nie strzela. W tym słyszę głos porucznika: "Wracać— r.k.m. jest." Czołgając się rowem, wracam ucieszony do swoich. Okazało się, że ściągając r.k.m. ze stanowiska, w zdenerwowaniu i na skutek ciemności położyłem go nie do kosza, tylko na ramie, łączącej przyczepkę z motorem.

Za chwilę dołączamy do plutonu. Po piętnastu minutach jazdy wjeżdżamy do jakiegoś dużego osiedla. Przez otwarte okno jednego domu przenika światło. Przystajemy. W ciszy nocy głośno rozlegają się ochrypłe pijackie głosy francuskiej piosenki "Valentine! Valentine!" Wchodzę wraz z porucznikiem. W jasno oświetlonym pokoju, przy stole zalanym winem, zawalonym pustymi i jeszcze pełnymi butelkami, rozbitym szkłem i stosami niedopałków papierosów —siedzi trzech rozmamłanych podoficerów francuskich, kompletnie pijanych.

Porucznik rozkazuje mnie zasięgnąć od nich informacji co do położenia oddziałów francuskich. Trudne zadanie. Bełkocą w paryskim *argot*, że bić się nie chcą, że piją po raz ostatni wino francuskie czekając na Niemców, aby się oddać do niewoli, że "boche" lada chwila tu już będzie i że oddziały francuskie już dawno stąd uciekły. Pytam dlaczego z nimi nie poszli. Odpowiadają, że szkoda się męczyć, bo poszli na piechotę i Niemcy ich i tak napewno dogonią.

Równocześnie widzę przez otwarte okno jak nasi chłopcy na rozkaz porucznika cicho i sprawnie wprowadzają motory do stodoły i rozstawiają czujki. Koło siebie znowu słyszę brzęk szkła i wycie: "Valentine! Valentine!" Ogarnia mnie, człowieka wolnego, mieszane uczucie wstydu i litości dla tych ludzi, którzy patrząc zamglonymi alkoholem oczami na słońce południa Francji, perlące się w smukłych kieliszkach, zatracili swoje człowieczeństwo. "Liberté" rozpływa się w moich oczach w oparach win, aperitiwów i atmosferze wygody życia i lenistwa.

Schodzę na dół. Koledzy, leżąc na ziemi obok motorów, już śpią twardym, kamiennym snem. Porucznik przyciszonym głosem rozmawia z jakimś na pół ubranym cywilem francuskim. Widząc mnie, woła: "Obudzić pluton, Niemcy na drugim końcu wsi." Brutalnie szczypię w ramię najbliższego.

Jeszcze jedna przykra niespodzianka wojny ruchowej.

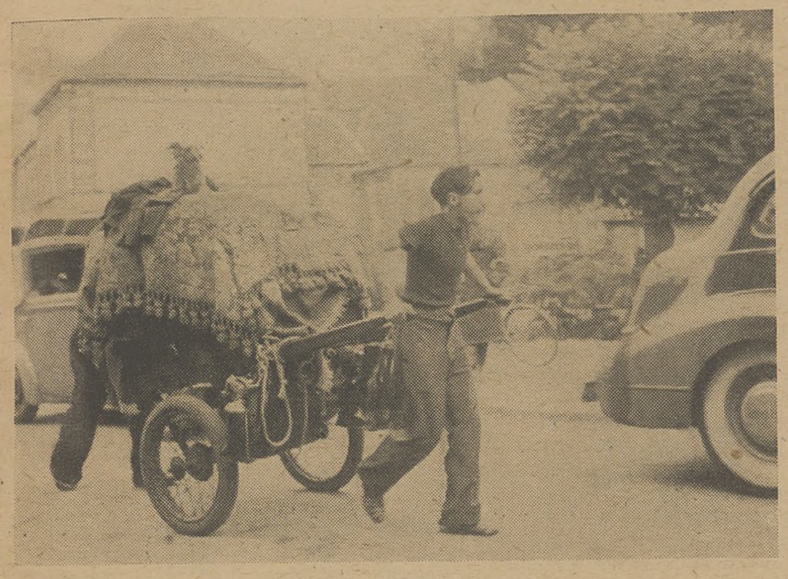
Tadeusz Prus Bugayski

Por. "Idziemy na front" nr. 1, 2; "Wytrzymujemy natarcie" nr. 4 "Polski Walczącej" z b.r.

TRZECIA NAGRODA
w konkursie fotograficznym "Polski Walczącej"

Ryszard Rusiecki: Z wieży czołga





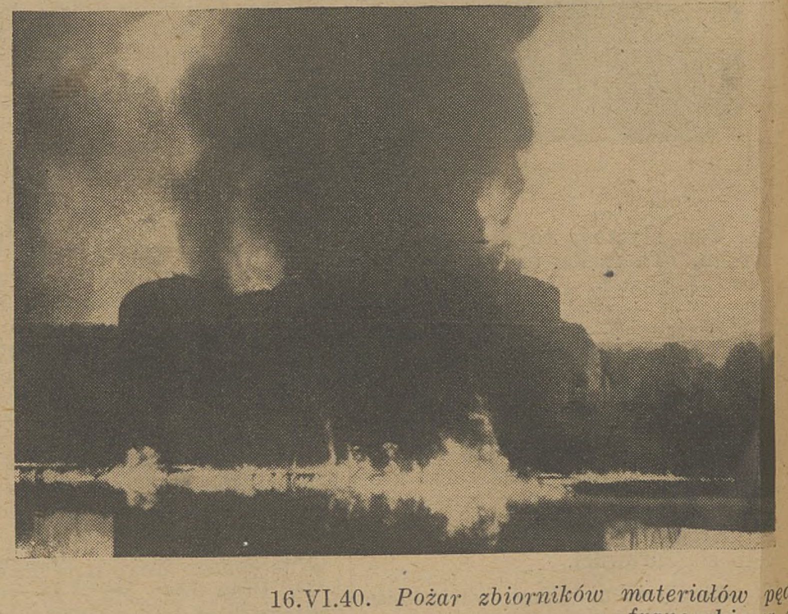
Ewakuacja ludności z Paryża



Versailles, 14.VI.40. *Polski łącznik motocyklowy mija końcową falę uciekinierów*



Rejon Bourges, 18.VI.40. *Czołg R.40 (z 3 komp. pol. 2 bat. czołg.) podczas działań osłaniających odwrót* VIII *armii*





16.VI.40. *Pożar zbiorników materiałów pędnych podpalonych przez wycofujące się oddziały francuskie w miejscowości Sens*

Święto pułkowe
(Wyjątek z dziennika bojowego)

Zaczęliśmy wyciągać nasze wozy w kierunku powrotnym, aby potem obejść zatarasowaną wieś dookoła, przez teren.

Odprawa w lesie—nadjeżdża dowódca Dywizjonu. Okazuje się, że w Sezanne został por. M. z plutonem motocyklistów i czeka na przemarsz 2-go szwadronu. Tymczasem szwadron przeszedł inną osią, a M. czeka do tej pory. Sytuacja dla nich jest ciężka, ponieważ pancerne patrole niemieckie znajdują się już na południe od Sezanne między nimi a nami. Trzeba wysłać gońca do M. z rozkazem natychmiastowego wycofania się do Chapelle Vallon. Zadanie jest niebezpieczne i niełatwe. Niewiadomo, na których drogach są już Niemcy i którędy jechać.

Siadam w samochodzie obok dowódcy Dywizjonu i piszę rozkaz do odciętego plutonu, poza tym rysuję dwa dokładne szkice—jeden dla gońca motocyklowego na domarsz, drugi—oś powrotna dla plutonu.

—"Kto pojedzie?!"—na ochotnika zgłasza się strzelec konny G. Pełen bak benzyny, mocny uścisk dłoni przez dowódcę szwadronu i słowa:

—"No bracie, jak wrócisz i wyprowadzisz pluton—będę pamiętał!"

G. jest gońcem motocyklowym dowódcy szwadronu, nie zna zupełnie tej okolicy, ani dróg, tak jak wszyscy zresztą—jest tutaj pierwszy raz w życiu. My jedziemy wszyscy na południe, a on za chwilę sam jeden pojedzie w przeciwnym kierunku, na północ, na spotkanie Niemców—dzielny chłopak! Cały czas jeździł z meldunkami, pomaga w regulacji ruchu, utrzymuje łączność w kolumnie— twarz ma czarną od kurzu. Wsiada na motor—gaz—jazda!

Najlepsze życzenia nasze idą z nim razem.

—"Szwadron do wozów!" Jedziemy obok wsi przez zasiane pola, przez jakąś łąkę i do lasu. Obok nas maszerują grupki Senegalczyków. W czasie zatrzymania rozmawiam z jednym z nich.

Nazywa się Kaire Kabhuro. Zapisuję sobie jego nazwisko w dzienniku. Lat 26—już trzeci dzień maszeruje z kolegami przez lasy, nogi ma odparzone, manierka pusta, do jedzenia też już prawie nic nie ma. Strzelcy usłyszawszy to, dają mu sporo sucharów i dwie konserwy. Siadamy obaj obok wozu na zwalonym pniu drzewa i rozmawiamy.

—"Żonaty?"

—"Tak."

—"Ile dzieci?"

—"Jedno, ma już 3 lata."

Pytam go jeszcze o dom jego w Afryce i o pracę, a potem:

—"Czy słyszał coś o Polsce?"

—Chwila milczenia.

—"Nie."

. . . ale w tym momencie patrzy na mnie i spoglądamy sobie prosto w oczy. Spojrzałem na karabin, który trzymał między kolanami i mówię mu, że jest dobrym żołnierzem i bardzo się cieszę, że widzę u niego karabin, ponieważ dużo żołnierzy porzuciło karabiny a zamiast nich mają duże manierki.

Na moje słowa uśmiecha się i mówi, że on nie rzucił jeszcze ani razu karabinu, chociaż już nie ma amunicji, bo im dali tylko po 21 sztuk, i wystrzelał to pierwszego dnia.

—Czy słyszał coś o wojsku polskim?

Kiwa głową—myśli i mówi.

—"Mało!"

Wyrażem zdziwienie.—W tej chwili strzelec S., stojący obok nas mówi:

—"Jakto, nie słyszałeś o wojsku, które jest na pierwszym miejscu na świecie?!!"

Na te słowa odruch całego ciała, spojrzenie w moje oczy, chwila zakłopotania i odpowiedź:

—"Tak, dobrze! ale na drugim miejscu Senegalczycy."

Uśmiechamy się wszyscy—ja wołam: "brawo" i ściskamy dłoń dzielnego Senegalczyka. Zaiste jego duch i morale może być przykładem dla tych, którzy mu dali 20 sztuk amunicji na trzy dni i teraz pozostawili go bez żywności i opieki.

Zapraszamy go wraz z jego kolegami na wóz i podwozimy około 50 km. Jest bardzo zadowolony. W czasie jazdy pokazuje mi wyjęty z pod koszuli papier wydany przez władze francuskie.

"*Żołnierz 1-ej klasy Kaire Kabhuro w czasie swej ostatniej służby prowadził się dobrze.*"

Jest z tego zaświadczenia bardzo dumny. Opowiada mi też o wynikach strzelania—był najlepszym strzelcem w kompanii.

W miejscowości Plancy znajduje się jakiś oddział Senegalczyków. Radzę naszym towarzyszom dołączyć się do niego—co też robią. Żegnamy się serdecznie i czołem! Do lepszych czasów!

Gdy wozy wolno ruszyły, słyszę za nami głośny okrzyk. Stajemy. Okazuje się, że jeden z nich zsiadając ostatni, nie zdążył zabrać karabinu—i teraz biegł za samochodem krzycząc z całych sił:

—"Mój karabin . . . mój karabin!"

Miałem jeszcze jeden dowód, jak bardzo przywiązani byli do broni.

Wieczorem Brygada doszła do rejonu Chapelle Vallon. Wyjechałem przed szwadronem wcześniej, aby w oznaczonym lesie znaleść odpowiednie duchty i drózki na "kwatery."

Po przybyciu całości—zamaskowano wozy, kuchnia ugotowała gulasz, a oficerowie zebrali się na małej polance i przy butelce wina rozmawiamy o wszystkim.

Od razu na początku ktoś przypomina, że to przecież dzisiaj 14 czerwca—rocznica święta Pułkowego Pułku 3 Ułanów. Pułk naszego dowódcy szwadronu. W kampanii wrześniowej w Polsce, w barwach tego Pułku bił się z Niemcami—dzisiaj, na ziemi francuskiej, dowodząc szwadronem 10 Pułku Strzelców Konnych prowadzi tę walkę dalej. Wobec czego wszyscy wstajemy i przy butelce Pomarda składam rotmistrzowi najlepsze życzenia:

"10 Pułk Strzelców Konnych pije zdrowie Pułku 3 Ułanów— Niech żyje!"

Starym kawaleryjskim zwyczajem urządzamy wspólną kolację dla wszystkich podoficerów i strzelców konnych, którzy kiedykolwiek nosili barwy Pułku 3 Ułanów.

Konserwy, suchary, butelka szampana, jakaś marmelada—to wszystko, cała uczta. Brak chleba, ale o dostaniu gdziekolwiek mowy nie ma, ani kawałeczka.

Zasiadamy do jedzenia, gdy wtem wąską dróżką leśną jedzie jakiś motocykl. Pewnie goniec z Brygady, nowe rozkazy. Podjeżdża bliżej—G.!

Rzucamy się wszyscy do niego i ściągamy go dosłownie z motoru.

—"Co jest z M.?!"

—"Jest!"

—"Gdzie?"

—"Zaraz przyjedzie!"

Radość nasza jest ogromna. Gratulujemy wszyscy G. i cieszymy się, że uratowany pluton dołączy do nas. No i M., którego tak lubimy. Naturalnie G. zasiada razem z nami do kolacji i opowiada, jak mu się udało dojechać i powrócić. Słuchający mają twarze uśmiechnięte i zadowolone. Wszystko się dobrze skończyło. Wznosimy zdrowie G. Potem znowu dowódcy szwadronu i jeszcze raz Pułku 3 Ułanów. Pijemy do dna.

Mimo woli przychodzą wspomnienia. Polska kawaleria. 40 pułków . . . tyle szwadronów . . . Święto Pułkowe—to w każdym pułku największy dzień w roku. W tym dniu wszyscy przyjeżdżali do pułku z najdalszych nawet zakątków Polski. Wielki dzień i wielka była zawsze uroczystość w każdym pułku. Starsi przekazywali swoje wspomnienia młodszym, ale wraz z tymi wspomnieniami przekazywali też coś, czego nie mierzyło się żadną miarą— czego właściwie nikt nawet opisać by nie potrafił dokładnie, ale co decydowało o tym, że ta kawaleria była taka właśnie, jaka była—najlepszą kawalerią świata.

I dzisiaj tu na polanie leśnej "gdzieś we Francji," ci z tego pułku, którym dane było jeszcze raz bić się z Niemcami, łączą się myślami z wszystkimi kolegami na całym świecie. Gdziekolwiek się oni znajdują.

Z nimi łączą się i nasze myśli — całego szwadronu — wspólne wspomnienia i wspólna myśl— myśl—myśl o Pułku!

* * *

Minął od tego czasu przeszło rok . . . "Gdzieś w Szkocji," nad brzegiem morza, wyciągnęły się szeregi szwadronów. Święto pułkowe 24-go pułku ułanów— generał broni Kazimierz Sosnkowski w imieniu Naczelnego Wodza dokonywał dekoracji odznaczonych Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych. Długa lista nazwisk i mała garstka w szeregu przed frontem pułku. Nie było w tym szeregu ani podporucznika, który był odcięty z plutonem, ani strzelca konnego, który przedzierając się przez Niemców dowiózł mu szkic i rozkazy, ale obaj zostali wymienieni

I gdy po dekoracji trębacze zagrali hymn narodowy—to dźwięki te popłynęły ponad pola Francji i napewno doszły tam, gdzie się oni znajdują—odczuli to obaj napewno. Bo przecież każde polskie serce bije silniej, gdy grają polski Hymn Narodowy.

A tym bardziej, gdy grają go w dniu święta pułkowego, i gdy w tym dniu jednocześnie dostaje się krzyże żołnierskie.

Kamil Bogumił Czarnecki

Por. "Brygada pod Montbard," nr. 32; 33 z min. r.; "Pancerniacy idą na piechotę" nr. 5; "Ostatnie patrole" Czarnej Brygady" nr. 9; "Na drodze pod Gourgançon" nr. 22-23 "Polski Walczącej" z b.r.



Sens, 16.VI.40.



17.VI.40. *Ferma pod miasteczkiem Giens nad Loarą. Tu wczoraj kwaterowała nasza kompania*



Most na rzece Dordogne wysadzony przedwcześnie przez Francuzów



23.VI.40. *Na południe od Loary podczas osłaniania odwrotu VII armii francuskiej. Szukamy benzyny gdzie się da*



24.VI.40. *Na ten most jeszcze zdążyliśmy*

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

Zjawiskiem uderzającym w tej wojnie, które nie powinno ujść uwagi żadnego Polaka, jest przyjaźń okazana nam przez liczebnie małe narody: Szwajcarów, Węgrów, Portugalczyków. Objawy i formy tej sympatii, okazywane wojsku lub uchodźcom polskim, tym są cenniejsze, że ich okazywanie ze strony tych narodów pozostaje nieraz w sprzeczności z interesami ich własnego egoizmu narodowego, że naraża je na niechęć ze strony Rzeszy niemieckiej. Prasa polska w Ameryce, notując skrzętnie wiadomości o życiu Polaków rozproszonych w świecie, szczególnie uwypukla tę postawę życzliwych Polsce narodów.

ŻYCZLIWOŚĆ SZWAJCARÓW

Mała republika helwecka, otoczona zewsząd państwami totalnymi, przedstawia dla Niemców łakomy kąsek. Przez dwa tunele szwajcarskie Simplon i Gotthard, Niemcy i Włochy przewożą 80% całego swego obrotu towarowego. Niemcy starają się opanować kraj gospodarczo i duchowo. Pierwsze udało im się częściowo, jeśli idzie o opanowanie duchowe napotykają na olbrzymie, nieprzezwyciężone trudności. Szwajcarzy cieszący się od roku 1291 wolnością, stoją twardo na stanowisku obrony swej samodzielności narodowej i kulturalnej.

Jednym z powodów zadrażnień w stosunkach szwajcarsko-niemieckich jest obecność internowanej II dywizji polskiej. Przyznał to wyraźnie—jak donosi "Nowy Świat"—sam Goebbels w rozmowie z dziennikarzami szwajcarskimi. Niemcy nie chcą ich uważać za jeńców wojennych, ponieważ ich zdaniem między Niemcami a Polską nie istnieje stan wojny. "*Lindauer Zeitung*," niemiecka gazeta wychodząca w miasteczku tuż obok granicy szwajcarskiej, domaga się, by rząd szwajcarski rozwiązał te obozy. Pismo to szczególnie niepokoi okoliczność, że obozy te położone są w okolicach górskich koło tunelów kolejowych St. Gothard i Simplon i linii kolejowych, którymi płyną transporty materiałów wojennych państw osi.

Miarą postawy władz szwajcarskich wobec tych niezgodnych z prawem międzynarodowym żądań niemieckich może być taki drobny ale wymowny fakt, który cytujemy za "Gazetą Polską" w Winnipegu: "oto Szwajcarska Rada Federalna miała zwrócić się do niemieckiego konsulatu generalnego z żądaniem odwołania urzędnika konsulatu w Winterthur, niejakiego Gustawa Schmidlkofera, który na zebraniu pronazistowskiej organizacji wyśmiał politykę rządu szwajcarskiego za ludzkie traktowanie polskich żołnierzy internowanych w Szwajcarii."

Władze szwajcarskie zezwoliły też w sierpniu na ponowne ukazywanie się pisma żołnierzy internowanych "Gońca Obozowego," który został zamknięty w marcu 1941. "Polska Walcząca" pisała kilkakrotnie o tym wydawnictwie.

Mnożą się też objawy sympatii dla Polski w sferach intelektualnych, czego dowodem dwie publikacje, jakie się niedawno ukazały. Rok temu Uniwersytet Lozański zamierzał publicznie uczcić stulecie wykładów Mickiewicza. Gdy wypadki związane z klęską Francji uniemożliwiły wykonanie tego planu, uniwersytet—jak donosi "Nowy Świat"—wybrał inną, jeszcze trwalszą, formę uczczenia rocznicy przez wydanie obszernej pracy docenta tamtejszej wszechnicy G. Ferretiego p.t. "*Adam Mickiewicz à l'Academie de Lausanne.*" Książka oparta na szwajcarskim materiale archiwalnym ma zawierać dokładną historię działalności Mickiewicza na katedrze literatury łacińskiej.

W Lozannie w 1941 ukazała się też broszura Stanisława Liberka "*L'Amitié polono-suisse*" z przedmową B. Vallotona, która przypomniała bogatą tradycję wiekowej przyjaźni obu narodów, dziś tak wymownie ujawniającej się w serdeczności przyjęcia naszych żołnierzy.

Wszędzie, gdziekolwiek są dziś rozproszeni Polacy umacnia się w ich sercach uczucie wdzięczności dla narodu szwajcarskiego. Podkreśla to cała prasa polska w Ameryce. Ten "kapitał wdzięczności" uwypukliły też niedawno silnie budapeszteńskie "Wieści Polskie" w artykule wstępnym, poświęconym jubileuszowi Związku Szwajcarskiego /1291—1941/.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO NA WĘGRZECH

"Ameryka—Echo" cytuje z listu Polki przebywającej na Węgrzech kilka szczegółów o życiu kulturalnym tej części emigracji. W ostatnim roku szkolnym było na różnych uniwersytetach węgierskich 17 polskich studentów-uchodźców, którzy przełamawszy wielkie trudności językowe, zdali egzaminy uniwersyteckie z dobrym wynikiem. Szkołę średnią ukończyło 30 uczniów.

Prasa polska w Ameryce powtarza za budapeszteńskimi "Wieściami Polskimi" notatkę o ukazaniu się dwóch książek odbitych na powielaczu nakładem Komisji Kulturalno-Oświatowej przy Komitecie Obywatelskim dla opieki nad uchodźcami. Pierwszą jest katalog biblioteki Instytutu Polskiego w Budapeszcie, drugą "Zarys Literatury Niepodległej Polski" prof. Ignacego Chrzanowskiego. Ze względu na trudne warunki wydawnicze ukazał się na razie pierwszy zeszyt, obejmujący historię literatury do końca XVI w. Trudno było o lepszy wybór dla zaspokojenia głodu książki polskiej, niż ta znakomita, żywa, przepojona polskością książka męczennika kaźni oranienburskiej.

Jakie stosunki panują pomiędzy Węgrami a uchodźcami, o tym świadczy fragment artykułu powtórzony za "Wieściami Polskimi": "Szybkimi krokami zbliża się ku nam druga już rocznica pobytu naszego na ziemi węgierskiej. W ciągu tych dwu lat wyrobiły się formy współżycia z ludnością węgierską, formy odpowiadające doskonale tradycjom stosunków polsko-węgierskich, opartych na kulcie wspólnych ideałów wolnościowych, wzajemnym wspieraniu się w potrzebie i serdecznym uczuciu."

POSTAWA PORTUGALCZYKÓW

Pierwsze to chyba w dziejach zetknięcie dużej stosunkowo grupy Polaków z odległą przestrzennie i duchowo Portugalią. Wrażeniami z tego zetknięcia dzieli się socjolog dr. Stefan Włoszczewski z czytelnikami "Nowego Świata." Przybył on do Ameryki z Portugalii, gdzie przebywał przez dłuższy czas. Żali się na nieżyczliwość policji i sfer oficjalnych. W przeciwieństwie do tego podkreśla niezwykłą życzliwość szerokich sfer ludności. Oto co pisze on dosłownie o tym zjawisku:

"Dobroć niezmierna, dobroć czynna, wyróżniająca się nie tylko w życzliwości, ale i w uczynności. Zarówno lud, jak i wyższe sfery nie szczędziły nam serca. To niejedną łzę otarło, niejednym wypogodziło oblicze. Z niejednym godziliśmy się i niejedno przebaczyliśmy, zjednani czarem tej dobroci. Dlatego też taką tezę stawiałem na publicznych odczytach w Coimbrze, w Lizbonie, w Porto, kiedy chodziło o diagnozę socjalną rasy: Reżim—pod znakiem zapytania! Typ socjalny—mocno zachwiany, a życie społeczne—zdezorganizowane! Ale afektywne rezerwy ludu, obejmując tym pojęciem wszystkie warstwy społeczeństwa, są nietknięte, a jest to przecież największe i najsolidarniejsze dobro grupowe."

POTRZEBY POLAKÓW WE FRANCJI

Przypomina o nich apel niestrudzonego Pawła Supera skierowany do Komitetów ratunkowych i redaktorów pism polskich w Ameryce. Gdy w lecie tego roku Niemcy zmusili rząd w Vichy do zamknięcia Polskiego Czerwonego Krzyża, polska YMCA mogła działać nadal stanowiąc samodzielną część YMCA francuskiej. YMCA przejęła ośrodki prowadzone dotąd przez P.C.K. Skutkiem tego sama liczba świetlic zwiększyła się z 15 do 66. Rada Polonii, uważając potrzeby żywienia Polaków we Francji za najpilniejsze, obraca wszystkie składki przeznaczone dla Francji na ten cel. Super nieznużony w swej roli orędownika potrzeb Polaków rozproszonych w świecie zwraca się z gorącym apelem o zebranie kwoty potrzebnej na zaspokojenie potrzeb 66 świetlic.

Pewne znamienne światło na zachowanie się sfer francuskich wobec Polaków rzuca list jednego z polskich profesorów cytowany w "Ameryka-Echo": "dawne prace nasze kulturalno-oświatowe na terenie Francji nie zostały poniechane. Wszystkie lektoraty polskie na uniwersytetach w t.zw. strefie wolnej funkcjonują normalnie przy zwiększonej — rzecz charakterystyczna — frekwencji słuchaczów francuskich.

"W strefie okupowanej wiadomo mi, że funkcjonują wykłady polskie w dwóch miejscach. Dawni stypendyści Polacy rządu francuskiego otrzymali przedłużenia stypendiów. Jak dotąd objeżdżam po dawnemu nasze placówki uniwersyteckie w strefie wolnej, wygłaszając wykłady i odczyty, bardzo życzliwie przyjmowane przez publiczność francuską.

" . . . Wreszcie, ulegając nakazowi tychże czynników /rządowych i francuskich/ podjąłem się zorganizowania i kierownictwa liceum polskiego w . . . gdzie kształci się obecnie 186 osób /tylko 4 klasy wyższe/."

INŻYNIEROWIE- POLACY W CHINACH

"Dziennik dla Wszystkich" donosi, że jedenastu inżynierów-Polaków przybyłych niedawno z Szanghaju, podpisało z rządem chińskim kontrakty na budowę linii kolejowej, która ma połączyć brytyjską Burmę z odnogą kolei chińskiej w pobliżu granicy. Nowa ta linia ma odciążyć ważny szlak burmański i umożliwić szybszy przewóz materiału wojennego i żywności dla Chin.

Adam Ordęga

Bez black-outu

Black-out służy do szczelnego zakrycia okien, tak szczelnego, by absolutnie nic nie było widać. Black-out nie przepuści przez swą materię najmniejszego promyka, wyklucza oglądanie rzeczy i ludzi z zewnątrz. Te kotarki, czarne papierki, zasłony i koce spełniają znakomicie swoje zadanie wojenne, ale tylko na oknach i tylko w pewnej porze, natomiast black-out, stosowany w innych dziedzinach zawodzi. Kotarowanie pewnych spraw, zalepianie czarnymi papierkami niektórych zagadnień, spuszczanie grubych zasłon na aktualne, nurtujące naszą rzeczywistość pytania, chowanie każdej drażliwości pod koce—w kontrastowym przeciwieństwie do black-outu wojennego—wyrządza szkodę społeczną. Taki black-out moralny nie chroni, ale właśnie naraża na niebezpieczeństwo, jest najlepszym sprzymierzeńcem wroga, doskonałym przewodnikiem defetyzmu, mistrzem w budzeniu wszelkich nieufności, nieodpowiedzialnych odruchów, mistrzem gry na ludzkim poczuciu "mniejszej wartości."

W felietonie, którego pierwszy odcinek rozpoczyna dziś skromny żywot, spróbujemy mówić o ludziach i rzeczach większych i mniejszych, o zagadnieniach aktualnych, drażliwych i niedomówionych, o "drobiazgach" niezwykle jednak ciężkich gatunkowo—mówić . . . bez black-outu. Zadanie niebezpieczne, czasem niewykonalne, a jednak warte pióra i farby drukarskiej. Pióro musi być ostre na końcu . . . i na początku farba musi być jasna—nie różowa, ale i nie czarna, taka w sam raz . . . zdecydowana. Spróbujmy.

Podchodzimy do okna, podnosimy ciężkie, ciemne kotary, zasłonę, podrywamy mocno do góry, rozchylamy firanki, otwieramy okno tak szeroko, by każdy z zewnątrz mógł zajrzeć do środka i oddychamy głęboko, szeroko, tak, by wystarczyło powietrza co najmniej . . . na kilkadziesiąt wierszy druku.

Patrzę przez okno na szkockie wzgórza i myśl mimo woli odkręca, jak na taśmie filmowej wydarzenia z przed roku. W tamtym wrześniu 1940 stawialiśmy jeszcze nieśmiałe kroki po ścieżce, która nas powiodła na czołowe miejsce pierwszego sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii. Jeszcze kilku przewrażliwionych biadało od czasu do czasu, że hymn polski w niedzielę w radio nadają po "Marsyliance," ale i ci wiedzieli, że moralna pozycja pierwszego miejsca jest niewzruszalna. Myśl wracała do pierwszych owacyj z okazji "inwazji polskiej" w Szkocji, do pierwszych koncertów polsko-szkockich, organizowanych przez żołnierzy, do uroczej manii "souvenirów" i do tych pierwszych, niezapomnianych wzruszeń, doznawanych podczas śpiewania polskiego hymnu narodowego przez brytyjskie dzieci. Przyjaźń polsko-brytyjska niewątpliwie pogłębiła się w ciągu roku, dojrzała, jest jak małżeństwo, które po burzliwej podróży poślubnej, przeżywa pierwszy rok uzgadniania charakterów, harmonijnego zgrywania temperamentów w codziennej powszedniości kłopotów z książką kucharską i książeczką rachunkową. Takie małżeństwa bywają w tym okresie czasu niezwykle zazdrosne i . . . podejrzliwe. Zazdrosne o byle głupstwo, czułe na krzywdę, choćby mimowolną.

Siedzę w oknie, patrzę na wzgórza szkockie, a z otwartego głośnika radiowego płynie niefrasobliwy koncert "Music while you work." *Muzyka przy pracy. Robię sobie wyrzuty, że nie pracuję a jednak słucham. Słucham i myślę o tym roku, który wypracował nam czołowe miejsce wśród sprzymierzeńców. Nagle drgnąłem . . . Speaker angielski zapowiedział:* And now "Ojra-Polka" *i pokój rozdzwonił się naszą starą, lwowską polką "Ojra." Zdziwienie moje rosło, zwiększyła je końcowa zapowiedź speakera, który zakomunikował słuchaczom, że była to rosyjska polka* "old Russian tune."

Ta rosyjska polka rodem z Łyczakowa rozpoczęła koncert rosyjski w tym dniu na fali angielskiej, rozpętując równocześnie wielką wojnę moich myśli w oknie bez black-outu. Myśli biły się na argumenty rzeczowe i na przewrażliwione motywy, biły się na białą broń i na czarne przypuszczenia. Zajrzyj do programu radiowego—wołała jedna myśl bardziej zapalczywa, a znajdziesz na fali B.B.C. 9 Sept. Tuesday 6.45 *prelekcję Sir Bernarda Paresa p.t.* "General Suworow—Russia's great soldier." *Otwórz głośnik po południu, i będziesz mógł podziwiać audycję angielską:* "Izbouchka a party in Russian peasant home," *posłuchaj wieczorem jak co druga orkiestra jazzbandówa gra "Oczy czarne," pójdź w małym mieście szkockim do jeszcze mniejszego teatru, a zobaczysz "balet rosyjski," który jeździ po całej Szkocji, prezentując między innymi jako "tradycyjne, rosyjskie tańce" . . . naszego mazura i krakowiaka. Wstąp po takiej sjeście do pierwszej z brzegu restauracji, a dostaniesz napewno modną "Charlotte à la Russe," czyli do niedawna poczciwą brytyjską* "jelly" *—może tylko bardziej . . . czerwoną.*

Siedzę przy oknie, a co raz mniej powietrza. Zaraz . . . myślmy logicznie: nowy sojusznik Wielkiej Brytanii jest potężny, militarny egzamin zdaje bez zarzutu, krwawiąc się obecnie w wojnie z Niemcami. Zaraz . . . Umowa nasza z Rosją, cokolwiek by się o niej powiedziało złego, czy dobrego, nie zwalnia nas z obowiązku walki moralnej, walki propagandowej o pierwsze miejsce w szeregu sprzymierzeńców Wielkiej Brytanii.

Małżeństwo zaczyna być zazdrosne, ale jeszcze nie podejrzliwe, jeden z małżonków czuje się jakby pokrzywdzony, jakby urażony, bo ten Suworow, ten "great soldier" *to przecież krwawy protektor straszliwej rzezi Pragi w r. 1794, bo ten Suworow, to dowódca wojsk rosyjskich, szturmujących wówczas Warszawę, to morderca wielu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci bezbronnych na przedmieściu warszawskim.*

Świeże powietrze działa: myślmy spokojnie. Małżeństwo wyrozumiałe. Brytyjczycy mogli ostatecznie nie wiedzieć, ale dlaczego ktoś z Londynu, naszego radia, najskromniejszego ze wszystkich radiofonij Sprzymierzonych—ktoś nawet nie fachowy /o co nie trudno/, ale pewnie przeglądający program B.B.C. nie zwrócił na to uwagi? Chyba, że . . . nikt nie przegląda programu? A szkoda, bo "Radio-Times Journal of the B.B.C. Price twopence" *jest do nabycia w każdym kiosku.*

Nie będziemy bić się o lwowską polkę "Ojra," choć żal nam staruszki, z której wojna zrobiła "old Russian tune," *ale—tego* great soldier *Suworowa powinniśmy w pierwszym natarciu wyprzeć z przedpola programów B.B.C. szczególnie, że prelegent Sir Bernard Pares już raz zabierał głos w sprawie polskiej na łamach bodaj* "Manchester Guardian" *w sposób pozostawiający wiele do życzenia. Możemy być lojalni wobec umowy polsko-rosyjskiej, co więcej możemy być jej głębokimi zwolennikami, ale nie wolno nam zaniedbywać szykowania w Brytanii naszych . . .* "Polish Charlottes"*—naszych krakowiaków dla radia, nie wolno nam wykazywać tyle doskonałej informacyjnej i dokumentacyjnej obojętności wobec pogadanek o Suworowie, Izbuszek i.t.p.*

Czemu fala B.B.C. nie mówi o naszych "great soldierach," *jak Kościuszko, który walczył, kto wie, czy nie lepiej, a napewno szlachetniej od Suworowa, o czym powinni pamiętać Anglicy, a co chętnie poświadczą Amerykanie? Czemu nie było do tej pory pogadanki w języku angielskim o proletariuszu szewcu Kilińskim, bohaterze ulicy warszawskiej lub o bohaterskim Bartoszu Głowackim? Za jakim black-outem schowaliśmy w przedpokoju w B.B.C. Moniuszkę, Szopena, Szymanowskiego i Niewiadomskiego i tylu ,tylu* "great" *Polaków-*soldierów, *królów, pisarzy, muzyków. Dlaczego ktoś nie przetłumaczy i nie wygłosi przed mikrofonem brytyjskim kilkuminutowego fragmentu z dokumentarnej, wstrząsającej książki Kisielewskiego: "Ziemia gromadzi prochy?"—Za jednego Suworowa—odczyt o powstaniu kościuszkowskim! Za "Izbuszkę"—Moniuszkę! I.t.d.*

Musimy się rachować, jak to robi przykładne, kochające się małżeństwo w pierwszym roku powszednich trosk gospodarstwa domowego. W otwartym oknie bez black-outu trzeba myśleć o naszej pozycji sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii.

Wiktor Budzyński

Z życia obozów

Szkoła ognia



Strzelcy

Jerzy Faczyński

DO CELU

Nie zgodzę się nigdy z powiedzeniem: "podróże kształcą." Natomiast zawsze będę twierdził, że męczą i to bardzo męczą. Zwłaszcza, gdy przy pomocy wrodzonego pecha pasażera, pociąg pojedzie prawie w przeciwnym kierunku, a podróżny dokształca swoje nerwy, czekając kilka godzin na jakimś dworcu /w nocy!/, by wreszcie złapać wehikuł, jadący choćby mniej więcej w kierunku celu wyprawy.

Ale pasażer tej klasy, co reporter udający się do Szkoły Ognia—nerwy ma zdrowe, to też przeżywszy wszystko, z jednodniowym opóźnieniem osiąga cel.

Cel dobry—najlepszy! Gdzieś w Szkocji, Szkołę Strzelania i Bombardowania.

Aczkolwiek samochód rwał pełnym gazem, zdążyłem kilkanaście minut zachlusnąć się radością zielonych gór, kąpiących się w słońcu,—uległem czarowi srebrnego morza, wciskającego się namiętnie i szeroko, łagodnie, a cicho między góry. To zbratanie wody z górami, przy akompaniamencie słonecznych promieni, tworzy harmonię szlachetną, przepiękną.

Nic więc dziwnego, że ludzie żyjący wśród takiej melodii, są szczęśliwi, ogniści, słoneczni. Dają znać o sobie już o kilka mil od lotniska, pomrukiem motorów i suchym terkotem karabinów maszynowych.

Najwidoczniej w tej chwili myślą o czym innym, zupełnie innym, aniżeli pętający się małym "łazikiem" po wąskim pasku drogi—reporter. Czy zechcą w ogóle z nim gadać? Czy pozwolą się o coś spytać?

A może . . . może potraktują "per cekaem"—strach pomyśleć . . . Ale nie. Potraktowali "per posterunek żandarmerii," sprawdzili papiery i rzucili /mnie/ w ogień . . . ich pracy.

PORANNY START

Brzask rannego słońca rozkłada się na murawie leniwo, ospale. Maszyny różnego typu—jedna przy drugiej—grupkami—rozrzucone po całym, olbrzymim lotnisku—czekają.

Na punkt startowy suną sylwetki napęczniałe obszernością kombinezonów: piloci i uczniowie strzelcy.

Zaczynają pracować silniki. Jest co raz gwarniej. Cisza, jaka panowała tu przez parę godzin—uchodzi spłoszona ich łoskotem. Kryje się za hangary, lecz i stamtąd przepędza ją co raz energiczniej dech skrzydlatych płuc.

"Człowiek strzela—Pan Bóg kule nosi"—powiada stare przysłowie. Tymczasem, ci ludzie, którzy za chwilę wsiądą do samolotów, by lecieć na strzelanie, sami sobie niosą amunicję, a oprócz tego deski . . . ostatniego ratunku—spadochrony.

Zbliżam się do jednego z nich i zadaję wręcz niedyskretne pytanie:

—O czym pan w tej chwili myśli?

—Przed każdym strzelaniem marzę na temat: gdybym mógł mieć pięć par oczu. Moi koledzy prawdopodobnie też byliby zupełnie zadowoleni, gdyby otrzymali takie "wyekwipowanie."

Trudno mi jest życzyć spełnienia tych marzeń, ale pocieszam, iż napewno równie dobrze będą sobie panowie radzili z jedną tylko parą zdrowych, strzeleckich oczu.

Głos instruktora — Anglika, przerywa dialog i mój rozmówca wraz z innym kolegą po fachu gramoli się do maszyny.

Już po chwili zniknęli z lotniska i tylko gdzieś zdala—od strony morza—dochodzi trzask karabinów.

Łączę z nim serdeczne życzenie, by "przefasonowali rękaw" na sito. Nawet jeszcze konkretniej: by pilot maszyny holującej, przywiózł na lince tylko dziurę. Był "rękaw"—nie ma "rękawa." Ale nie jest to takie łatwe.

Jedna z maszyn już wraca. Instruktor podaje wyniki. Pierwszy 45%, drugi 30%.

—Coś słabo!—krzywią się koledzy.

Z dyskusji, jaka się teraz wywiązała na starcie wyraźnie wynika, że "nawalił pilot, który był napewno przez kogoś napuszczony. Rzucał maszyną, wyczyniał fantastyczne położenia, wciąż odchodził od rękawa—nie sposób było lepiej wycyckać."

Jak informują inni, czekający na swoją kolejkę, nie zaszedł jeszcze nigdy wypadek winy ucznia. Nigdy! Tak się dziwnie składa, że zawsze albo: wiatr, albo pilot, albo karabin, albo rzucało. . . .

—Panuje tu widzę zacięta rywalizacja?

—Bardzo zacięta—mówi z naciskiem jeden z wypoczywających na trawie. "To szkolne karabiny, których używamy, w zaciętości nie znają granic. Zacinają się na potęgę, i stale w inny deseń. Ale jakoś sobie radzimy. Naprawienie w powietrzu najdrobniejszego chociaż defektu, jest bardzo trudne i ślamazara nie poradzi. Szkoda gadać! Tylko, że to u nas chłopaki równe i jak już Polak wynosi z maszyny karabin nawalony, to znaczy, że musi on /karabin/ hulać do gruntownego remontu.

—Co panu daje największe zadowolenie w powietrzu?

—Siła ognia czterech sprzężonych karabinów maszynowych. Nigdy przed tym nie zdawałem sobie sprawy, jaka to jest potęga. Niewątpliwie najprzyjemniejszy jest moment, gdy objekt wlizie na celownik i człowiek rzygnie sobie całym ogniem. Słyszy się wtedy jeden nieprzerwany huk i widzi cztery snopy, walące jak w bęben. Tylko na razie to lipa—wolało by się już w coś konkretnego. Sam pan rozumie, że np. w boksie zawsze przyjemniej jest walić w ludzkie *body*, niż w treningową gruszkę. Ale doczekamy się i tego. Im dłuższy trening, tym pewniejsze ciosy.

Dowiedziałem się później od innych, że ów niski, krępy kolega, który przerwał rozmowę i zajął miejsce w samolocie—jest bokserem i to zupełnie rutynowanym. W swojej wadze nie ma na całej stacji przeciwnika.

Znowu jakaś maszyna roluje na punkt startowy, inna przed chwilą zadarła ogon, a okurzyła nas przytem niemiłosiernie.

I tak w kółko. . . .

Na starcie dziwne poruszenie. Z wnętrza samolotu, który przed chwilą wylądował wyskoczyło dwóch uśmiechniętych strzelców i zacierają radośnie ręce.

—Najpierw rąbnął Jerzy—patrzymy—pół rękawa odpadło. Później walnąłem ja—zostało tylko kółko na lince.

Z jedną parą oczu! Fantastyczne! Czekamy na telefon z wynikami. Murowane po 100%. Jest! Jest! Ogłaszają:

—Pierwszy 2%, drugi—nic.

Konsternacja szalona.

Później dopiero się okazało, że ten telefon mówił o innej, nie polskiej załodze.

Więc jednak "strzelcy boscy—rębacze diabli."

"ZDJĄĆ RĘKAWICZKI!"

—"Reporter musi widzieć nie tylko to, co mu pokazują, ale wszystko to, czego mu nie pokazują"—uczył mnie stary i wyrafinowany reporter, który tylko z tego żył, więc dlatego umarł śmiercią naturalną—z głodu.

Przepraszam za dygresję i do rzeczy. Otóż pokazali mi niewiele, bo tempo ich pracy jest tak silne, że laikowskie oko nie zdoła i tak uchwycić wszystkiego. Ale widziałem jeden moment z życia Szkoły, którego nigdy nie zapomnę, i o którym napewno każdy z nich będzie długo pamiętał. Takich chwil przeżywa się mało. Dość nieudanie można porównać to z uroczystością otrzymywania świadectwa dojrzałości, czy dyplomu uniwersyteckiego.

Trzydziestu młodych strzelców, po czterotygodniowej ciężkiej pracy szkoleniowej, otrzymuje "winkle" sierżantów i odznaki strzelców. Kończą Szkołę, by zacząć najbardziej szarpiącą nerwy robotę—strzelca płatowcowego. By wejść w grono ludzi, mogących śmiało powiedzieć, że właśnie oni—latający bez wytchnienia, staczający bez przerwy boje o panowanie w powietrzu—zadecydują o wynikach wojny.

To też nie bez wzruszenia stoją teraz i oczekują na przybycie komendanta Szkoły, który ma ich uczynić widomym znakiem naszywek sierżantów i "gapą" strzelców—członkami bojowej rodziny powietrznej.

Ustawieni w czworobok—inni, młodzi uczniowie patrzą z uczuciem dumy, że wkrótce . . . a równocześnie przeszywają ich dusze jakieś dziwne płomyki zazdrości i paląca chęć jak najszybszej rywalizacji. . . .

Podjeżdża wóz, z którego wysiada dostojnie pułkownik angielski—komendant szkoły. Wszystko stoi wyprężone. Raport.

Krótkie, ale jakże mocne przemówienie do przed chwilą "ustrojonych" sierżantów:

—"Spada na was w tej chwili ciężki obowiązek członków załóg maszyn bojowych. Musicie świecić przykładem i jako podoficerowie i jako strzelcy. Z waszego zapału i chęci do tej pracy, jaką wykazaliście podczas szkolenia, sądzę, że nie zawiedziecie!"

Błysk roziskrzonych oczu—ciarki przebiegają zgromadzonych—coś zapiera oddech. Boć duża odpowiedzialność spada na tych, idących do żmudnej, bezkompromisowej roboty.

—"A teraz apeluję do was: zdjąć rękawiczki! Wróg, z którym walczymy, jest tak brutalny, że musimy przeciwstawić mu brutalność stokroć bezwzględniejszą!

Więc pamiętajcie: zdjąć rękawiczki!!!

Mieczysław Pawlikowski

Placówka prawdziwej pracy

Tu nie odbywają się defilady, nie ma piosenką żołnierską ożywionych wymarszów i powrotów z ćwiczeń. Nie słychać tutaj stukotu przejeżdżających karierów, czołgów i ciągników artyleryjskich, ani szumu kolumn samochodowych, ani miarowego rytmu maszerującej piechoty. O żadnej godzinie dnia nie zobaczysz uroczystej zmiany warty. . . . Tu jest prawdziwa i skupiona praca, bez rekwizytów marsowych twarzy w hełmach, bez kolorowości bohaterstwa, bez zaszczytu służby w pierwszej linii. A jednak jest to ważna wojskowa placówka.

Jesteśmy w jednym z polskich wojskowych szpitali wojennych.

Jeśli jesteś lotnikiem długo byś krążyć musiał w szkockim zamglonym powietrzu, by wzrokiem odnaleźć ten ukryty w wielkim parku stary zamek, który zrezygnował ze wspaniałości pałacu i służy teraz wojnie. . . .

Jeśli Ci ta wojna skrzydeł nie dała, poprowadzę Cię aleją szeroką, przecinającą ten dziki park. I nie zdziw się, gdy drogę przebiegnie Ci stado saren, gdy spod nóg Ci nagle wyskoczą roje króliczków śmiesznie migających w ucieczce białymi ogonkami, że najniespodziewaniej poderwie się tuż obok Ciebie spłoszone stadko bażantów. Te zwierzęta nic nie wiedzą o wojnie. Czują się tutaj bezpieczne. Ludzie są dla nich dobrzy.

Spojrzyj przed siebie. Duży nisko strzyżony gazon, a na dalszym planie szeroko rozbudowany dwupiętrowy gmach. Zamek-Szpital. Stojące w szeregu wozy sanitarne zdradzają jego przeznaczenie. I jeszcze ci mieszkańcy nowi, w szlafrokach, z rękami na temblakach, z nogami w szynach, z obandażowanymi głowami, chodzący po dwóch, po trzech lub samotnie ścieżkami tego rozległego parku. Wyciągnęło ich słońce z sal i świetlicy, zwabiła świeżość zieleni, czerwonym kwieciem pyszniące się krzewy. To starzy już mieszkańcy. Tym wolno już wstawać. Niedługo odejdą do swych oddziałów.

Jakiś chłopak młody siedzi na ławce. Nogę ma w gipsie. /Pewnie ofiara motoryzacji./. Głowę oparł o poręcz ławki, oczy ma zamknięte. Tak dobrze jest znieruchomieć w słońcu. Słońce leczy. Zostawmy ich sobie. Jego słońcu, a słońce jemu.

Wchodzimy w korytarz, jakaś zdyszana pośpiechem siostrzyczka wymija Cię pędem. Otacza Cię ta inna, żyjąca własnym swoim życiem rzeczywistość. Przyjrzyjmy się temu życiu.

Pierwsze drzwi na prawo to sala operacyjna. Zajrzyjmy. Biało . . . Palą się mocne lampy, pachnie chloroformem. Na środku, pochylona nad stołem, grupka ludzi w białych fartuchach i czepkach, z ustami pogrążonymi w maskach. W ciężkim trudzie w skupieniu i ciszy pracują lekarze o nazwiskach znanych w Polsce. Wśród sióstr zaciekawia Cię ta oryginalna sylwetka. To pani Scott Ellis, Angielka, jedna z fundatorek Szpitala. Dwie inne fundatorki Panie Anneslay i Fielden pracują w kantynie.

Idziemy znowu długim korytarzem, mijamy napis "oddział chirurgiczny." Duże, pełne światła sale. Pod ścianami z obu stron stoją łóżka. Jest biało od ścian, od bandaży, od kitli lekarzy, od fartuszków sióstr. Jest tak biało, jakby za oknami leżał śnieg, a to przecież już lato w pełni. Zapominasz o nim tutaj. Lato jest tam za oknami, a tu jest walka twarda o zdrowie, o życie, o to lato właśnie.

Przesuwasz wzrokiem po twarzach chorych. Ot tu obok Ciebie leży ciężko chory kanonier. Jest drugi dzień bez przytomności. Oddycha z trudem i ręką niespokojnie marszczy na sobie kołdrę. Jest po zastrzyku. Doktór trzyma rękę na jego pulsie i w skupieniu wpatruje się w jego twarz. Wie z jak potężnym wrogiem walczy. Wsłuchuje się w rozpaczliwą i żmudną pracę organizmu, jak lotnik w szum prowadzonej maszyny. Musi ją wyprowadzić. Czuje, że to jest jego sprawa.

* * *

Popularny w szpitalu Jaś jest dziś w świetnym humorze. Niedługo będzie mu wolno wstawać. Ożywiony opowiada nowemu sąsiadowi o cudownych rękach doktora G., które wróciły go życiu. Wyrywa się teraz do tego życia, które jak Wielka Niewiadoma nierozwiązanego równania ciągnie go teraz ku sobie wszystkimi powabami. . . .

Popatrz, tam w rogu leży porucznik Z. Mocna, skurczona z bólu twarz. Jest twardy dla siebie teraz, tak jak był twardym kiedyś dla innych. Nie roztkliwia się nad swoim cierpieniem, choć wie, że on tu najdłużej zostanie, że na jego oczach zmieni się jeszcze wiele tych otaczających go twarzy. Czy pogodził się z losem? Nie wiem. Od niego się tego nie dowiesz. I nie próbuj zdradzić swego współczucia, bo spotkasz jego zimny, drwiący wtedy wzrok, gardzący cudzą litością. Patrzy teraz nieruchomym wzrokiem w sufit. Może myśli o żonie, wywiezionej wgłąb Rosji? To też jego tajemnica. Jest szorstki i samotny. Nagle uśmiecha się ludzko, przyjaźnie. Siostrzyczka — Świetliczka przyszła.

Z łóżek wyciągają się ręce. Każdy ma natychmiast mnóstwo pilnych interesów, zapytań, próśb. Siostrzyczka chodzi od łóżka do łóżka, i załatwia te najpilniejsze sprawy i uśmiecha się do wszystkich przyjaźnie.

Myślę, że to nie jest łatwo tak się umieć zawsze uśmiechać.

* * *

Wchodzimy do następnej sali. Wędrujesz wzrokiem po twarzach chorych. Są uśmiechnięte i zasępione, skurczone bólem i otępiałe w apatycznym zamyśleniu długich godzin szpitalnych, pełne niespokojnego wyczekiwania powrotu do życia ludzi zdrowych.

Koło chorych krzątają się siostry. To nie jest łatwa i przyjemna praca. Nikt nie policzy, ile serca i poświęcenia wkładają w swoją pracę. A personel pomocniczy? Kiedyś niejedna z tych pań dyrektorowych, pułkownikowych, inżynierowych nie mogłaby sobie wyobrazić takiego życia bez sukien, manicure, zapachu perfum. Dziś uczą się od swoich koleżanek-fachowców tej wymagającej wielkiego poświęcenia pracy szpitalnej. W skromnych fartuszkach, w białych czepeczkach nie zagubiły kobiecości, tak bardzo chorym potrzebnej.

Wciągnęło je to życie w swoje tryby. Na tej placówce, jak na każdej placówce wojskowej, nie wolno się załamać, nie wolno stracić głowy, nie wolno poddać się zmęczeniu. I nic, że czasem padnie ostre słowo lekarza lub Siostry Przełożonej, która tylko na pozór tak "groźnie" wygląda, a pod maską kryje całe morze ludzkiej, prostej życzliwości i dobroci. I nic że czasem chciałoby się wyrwać z tej rzeczywistości, uciec przed ciągłym widokiem cudzego cierpienia, przed mdlącym zapachem lekarstw, przed tą jednostajną ciszą szpitala. . . . Trzeba wytrwać, bo to jest służba dla wspólnej wielkiej sprawy.

Śpieszysz się. Nie pokażę Ci kaplicy, ani przytulnie urządzonej świetlicy, ani biur, gdzie z nad okularów groźnie patrzą oczy wcale niegroźne, a zaczerwienione i zmęczone. Przechodząc zaś koło drzwi z napisem "Komendant" pomyśl o wielkiej pracy, wielkiej woli i dobrej woli.

Odchodzisz do swej służby, na swoją placówkę. Znam Twoje myśli i refleksje, gdy ze schyloną głową wracasz stąd do swojego życia. Widziałeś imponującą, sprężystą organizację pracy, patrzyłeś przez krótką chwilę na sharmonizowany wysiłek całego personelu szpitalnego. Zetknąłeś się z cudzym cierpieniem, z walką o zdrowie, o życie. Nabrałeś szacunku dla tych ludzi i tej placówki.

Zapamiętaj. Przed każdym z nas stoją dziś wielkie obowiązki i wielka odpowiedzialność.

Wacław Morawski

AMERYKA I "BITWA O ATLANTYK"

Wielki wysiłek Niemiec na wschodzie idzie w parze z poprawą sytuacji Sprzymierzonych na morzu. W lipcu i sierpniu 1941 roku straty w tonnażu były mniejsze (prócz marca i kwietnia 1940 roku) niż w jakimkolwiek miesiącu wojny. Jest to tym bardziej pocieszające, że wszystko na to wskazuje, iż w tym czasie operowało na Atlantyku nie mniej okrętów podwodnych niemieckich niż w miesiącach najgroźniejszych. Mało tego: wielka liczba okrętów podwodnych włoskich pomagała Niemcom w tej "pracy," jednak ze słabym skutkiem.

Stale wzrastająca liczba korwet i mniejszych okrętów różnych typów we Flocie Wielkiej Brytanii, zmiana systemu zabezpieczania szlaków zagrożonych, znakomita współpraca z lotnictwem, oraz zmniejszenie przestrzeni, która znajdowała się na odpowiedzialności Floty Brytyjskiej, oto przyczyny tej zmiany na lepsze, wraz ze zdecydowanym wystąpieniem Stanów Zjednoczonych, których Prezydent nie tylko rozkazał Marynarce Wojennej U.S.A. konwojować statki, wiozące materjały wojenne dla Wielkiej Brytanji, ale polecił: "w razie napotkania niemieckiego okrętu podwodnego na wodach objętych strefą bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przez okręt wojenny U.S.A. — okręt amerykański ma obowiązek strzelać pierwszy."

Niemcy zaś ze swoją zwykłą, niedźwiedziowatą zręcznością zrobili wszystko, aby storpedować amerykańskich izolacjonistów, wypuszczając 2 torpedy na kontrtorpedowiec amerykański "Green" (chybione) i zatapiając w przeciągu krótkiego czasu 2 amerykańskie statki, z których jeden wiózł żywność dla wojsk amerykańskich, okupujących Islandię. Nie pomogły nawet zabawne zapewnienia pana Goebbelsa, że jak by Ameryka nie "prowokowała" biednych Niemców—III Rzesza nie ma zamiaru walczyć ze Stanami Zjednoczonymi.

Że "nie ma zamiaru" w tej dla Hitlera trudnej chwili to jest oczywiste, ale jak to będzie jeśli, nie daj Boże, Niemcy zwyciężą, o tym Amerykanie zaczynają przekonywać się coraz dokładniej i dzięki mądrości prezydenta Roosevelta przed tą ewentualnością zaczynają się bronić poważnie.

Faktem jest, że decyzje prezydenta Ameryki odciążyły znacznie Flotę Brytyjską i są wszelkie ku temu dane, że wrzesień nie będzie gorszy niż lipiec czy sierpień w "Bitwie o Atlantyk."

Ameryka jednak nie ograniczyła się tylko do konwojowania transportów do Islandii i do ostrzeżeń danych niemieckim okrętom podwodnym. W najbliższym czasie jest przewidywane konwojowanie przez okręty amerykańskie aż po brzegi Wielkiej Brytanii (Północnej Irlandii) statków, wiozących materiały objęte prawem Lease-Lend. Ogłosił to bez ogródek w dniu 18 września pułkownik Knox. Powiedział on dosłownie: "Wiele metod konwojowania i zabezpieczania statków od ataków z powietrza i z pod wody powstało podczas tej wojny. Użyjemy wszystkich tych metod. Powiadomię cały świat jeżeli amerykański okręt wojenny zatopi czy schwyta niemieckiego pirata. Tak daleko jednak wypadki nie zaszły jeszcze."

Jednocześnie w stoczniach U.S.A.. jak doniosły wszędobylskie gazety amerykańskie, naprawia się 12 okrętów brytyjskich, a między nimi 3 olbrzymy: okręty liniowe "Warspite" i "Malaya"

SPIS RZECZY

Wojna na morzu

oraz lotniskowiec "Illustrious." Poza tym krążowniki "Delhi," "Dido," "Liverpool" i "Orion," oraz pewna ilość okrętów podwodnych i korwet. Każdy okręt, pomijając nawet ewentualne uszkodzenia bojowe, musi co pewien czas iść do doków, musi być przeglądany i konserwowany. Współpraca doków amerykańskich ulży znakomicie przeciążonym stoczniom brytyjskim i pomnoży przez to ilość okrętów działających aktywnie na Atlantyku.

REJDER NA PACYFIKU

Według nieoficjalnych wiadomości z Panamy, na Oceanie Spokojnym operuje "conajmniej jeden" "rejder" niemiecki, który widocznie pozazdrościł sławy z tamtej wojny hrabiemu von Lückner, który na pokładzie swej 3 masztowej fregaty "See Alder" dał się sprzymierzonym wówczas poważnie we znaki. Ponieważ w ostatnich czasach holenderski statek motorowy "Kota Napon" (7.300 tonn) był ofiarą takiego "rejdowca" i zatonął niedaleko wysp Galapagos, które jako położone o 1000 mil morskich od Kanału Panamskiego, uważane są za "wyspy leżące w obrębie Kanału," więc okręty wojenne Stanów Zjednoczonych, w myśl aktywnych rozkazów Prezydenta Roosewelta, wyruszyły na "polowanie."

Istnieją dane, że wyspy Galapagos (należące do republiki Equadoru i są niezamieszkałe) używane są przez niemieckich rejdowców jako bazy. Faktem zupełnie stwierdzonym jest, że jako "okręty korsarskie" użyte są niemieckie statki handlowe, które znajdowały się uprzednio w portach Japonii i Chin. Jak donosi hiszpański "A.B.C." ma być tych okrętów około 20 i operują one jakoby na całym Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. Operują dopóty, dopóki je pokolei . . . nie wyłapie Flota Amerykańska czy Brytyjska.

OKRĘT PODWODNY WZIĘTY DO NIEWOLI PRZEZ SAMOLOT

W tych olbrzymich zmaganiach na olbrzymich przestrzeniach, na których okręt podobny jest do szpilki w stogu siana albo do ziarna grochu w grochowisku, niemieckie U-boote mają ciężkie zadanie. Już nawet w prasie niemieckiej przeróżni fachowcy zaczynają ostrożnie tłumaczyć, że środki walki przeciw okrętom podwodnym zostały tak udoskonalone przez nieprzyjaciela, że "chociaż walka rozpoczęta przez Führera na wiosnę b.r. daje pod wodą znakomite rezultaty, jednak nikt nie powinien się spodziewać jakichś piorunujących skutków, a jest to rzecz zrozumiała, że w tak niebezpiecznej służbie muszą też być znaczne straty. . . ." ("Berliner Börsen Zeitung" z końca sierpnia b.r.). . .

Dawniej, jeszcze przed pół rokiem, było nie do pomyślenia, aby okręt podwodny niemiecki poddał się, wywieszając białą flagę i opuszczając banderę. W tradycji wszystkich Marynarek Wojennych świata jest to czyn najhaniebniejszy i nawet Włosi przeważnie strzelali ze swych dział aż do ostatka i raz się tylko zdarzyło na morzu Czerwonym, że poddał się Anglikom włoski okręt podwodny cały i nieuszkodzony. Przeważnie zaś, gdy okręt podwodny zostaje zmuszony wypłynąć na powierzchnię przez wybuchy bomb głębinowych, wprawdzie załoga dostaje się do niewoli, ale okręt zatapiają.

Tymczasem w pierwszych dniach września aż 2 okręty podwodne niemieckie całe i nieuszkodzone, dostały się do rąk sprzymierzonych. Jeden poddał się bolszewikom w Zatoce Fińskiej na Bałtyku, drugi został wzięty do niewoli przez . . . brytyjski samolot R.A.F.

Jest to bezwzględnie jeden z najbardziej dziwnych i ciekawych wypadków obecnej wojny na morzu, a jednocześnie pierwsze w dziejach morskich zdarzenie, że samolot "zdobywa" okręt podwodny.

Gdy bombowiec Dowództwa Wybrzeża Lockheed-Hudson był na patrolu nad oceanem, obserwator samolotu zauważył sunący pod wodą okręt podwodny niemiecki (z powietrza widzialność w głąb wody jest stosunkowo duża). Pilot Hudsona szczęśliwie rzucił bombę, po której wybuchu, wyrzucającym wielki słup wody w górę, okręt podwodny wynurzył się gwałtownie na powierzchnię. Widząc, że właz na kiosku otwiera się, niemieccy marynarze wyskakują na zewnątrz, załoga Hudsona myślała, że biegną oni do działa i karabinów maszynowych. Hudson więc znowu zniżył się nad okręt i "przypuścił większą serię ckm". Ku zdumieniu jednak Anglików, na kiosku pojawiła się . . . biała koszula, a stłoczona załoga wymachiwała rozpaczliwie rękami, niedwuznacznie dając do poznania, że mają zamiar się poddać.

Rozpoczęło się krążenie ponad "zdobyczą" i telegrafowanie o przysłanie okrętów, które by zabrały pryze. Morze było złe i fala duża. Woda zalewała z górą 40 Niemców stłoczonych na niewielkiej przestrzeni koło kiosku. Każdy podejrzany ruch załogi okrętu, czy każde usiłowanie wejścia któregoś z marynarzy spowrotem do włazu witane było przez Hudsona ostrzegawczymi seriami cekaemów, ostro siekących wodę wokół pirata. Niemcy woleli więc nie ryzykować.

Hudson krążył tak przez cztery godziny. Po tym czasie nadleciały Cataliny i inne Hudsony, przysłane przez Dowództwo Obrony Wybrzeża i zmieniły dzielnego "zdobywcę."—"Od ciągłego spoglądania w dół na prawo tak mię rozbolał kark" —zwierzał się po tym pilot samolotu—"że w bazie nie mogłem go w żaden sposób wyprostować" . . .

Niemców karki bolały pewnie jeszcze bardziej, bo okręty brytyjskie nie nadchodziły, a samoloty brytyjskie nie pozwalały ruszyć się załodze niemieckiej jeszcze przez dalszych . . . 10 godzin.

Dopiero wczesnym rankiem dnia następnego przybyły okręty, z wielkim trudem (bo morze ciągle było bardzo wzburzone) zabrały Niemców z okrętu podwodnego, a samą zdobycz wzięły na hol i doprowadziły nieuszkodzoną i całą do jednego z portów angielskich.

STRATY I WYRÓWNANIE

Premier Churchill w swej wielkiej mowie w Parlamencie w końcu sierpnia mógł z całą dumą powiedzieć, że straty nieprzyjaciela na morzu w sierpniu i w lipcu były 3 razy tak duże, jak straty sprzymierzonych. Co to znaczy proporcjonalnie, każdy może sobie uświadomić. Należałoby więc tylko westchnąć do Boga, by . . . na lądzie szło conajmniej tak dobrze, jak na morzu!

Nie należy naturalnie myśleć, że ta wzrastająca przewaga z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, na morzu przychodzi łatwo. Trzeba sobie dobrze uświadomić, że jest ona wynikiem olbrzymiej, gigantycznej pracy Flot Sprzymierzonych i Marynarek Handlowych, że jest ona okupiona i okupywana stratami częstokroć bolesnymi i niezastąpionymi.

Ostatnio Admiralicja Brytyjska ogłosiła listę strat na krążowniku bojowym "Hood." . . . Zawiera ona 1.418 nazwisk, a między nimi 1 admirał (Viceadmiral Holland). Nie brak na tej tragicznej, choć zaszczytnej liście i 4 polskich nazwisk—naszych podchorążych marynarki.

W jednym ze swoich przemówień Churchill mówiąc o swojej podróży na spotkanie Roosevelta oświadczył, że płynął "na jednym z najnowszych brytyjskich okrętów liniowych." W kołach parlamentarnych podano do wiadomości, że trzeci okręt liniowy z tej serji został ukończony i objął służbę. ("King George V," "Prince of Wales" i "Duke of York.")

DROGA NA MURMAŃSK I DO ARCHANGIELSKA

Dzięki zajęciu Persji powstała druga droga morsko-lądowa, łącząca Wielką Brytanię i zapasy amerykańskie z Rosją. Pierwsza droga do Murmańska i Archangielska, dopóki nie zostanie zamknięta przez lody, jest we władaniu brytyjskim, utrzymywana "możliwie czysto," jak się wyraził Pierwszy Lord Admiralicji Alexander. W tej to akcji "oczyszczającej" sprzymierzeni (eskadra morska i wojsko lądowe) zniszczyli całkowicie bazę w Spitzbergen, spalili zapasy już wydobytego węgla i wysadzili w powietrze kopalnie, zabierając całą ludność do Anglii.

Słynny ze zdobycia statku- więzienia "Altmark" i sławny z bitwy we fiordzie Narvik, Kontradmirał P. L. Vian sprawił Niemcom nową łaźnię na północ od North-Cap'u, w krótkiej bitwie morskiej, zatapiając niemiecki krążownik "Bremse" (1.460 tonn, załoga 192 marynarzy, 4 działa 5 calowe, silna broń plt., 27 węzłów, wybudowany w r. 1931), niemiecki kontrtorpedowiec (zdaje się z klasy "Jaguar"), uzbrojony trauler i okręt eskortujący. Po stronie brytyjskiej nie było żadnych strat. Akcja eskadry brytyjskiej przeciw Niemcom trwała wszystkiego 30 minut.

NA MORZU CZARNYM I NA BAŁTYKU

Niemcy, zdaje się, nie zrezygnowali z zaatakowania Kaukazu od strony morza. W tym celu robią szerokie przygotowania dyplomatyczne i militarne. Obecność szefa Floty Niemieckiej admirała Readera w Rumunji w Bułgarji jest bardzo wymowna. Jednocześnie rząd bułgarski "zakupuje" masowo włoskie okręty wojenne, a Hitler przez von Papena naciera gwałtownie na Turcję, żądając przepuszczenia "bułgarskich" okrętów na Morze Czarne.

Bez tej pomocy Niemcy na Morzu Czarnym wiele zdziałać nie będą mogli. Jak dotąd, Flota Sowiecka panuje na tym terenie. Odesa się broni, a Sewastopol zapewne będzie równie silnie broniony. Działa Floty Czarnomorskiej bolszewików wspierają obronę Odesy.

Na Bałtyku bolszewicy bombardowali z morza Rygę, podobno z dobrym skutkiem i ewakuowali w sierpniu Tallin, który się stał "sowiecką Dunkierką". Flota sowiecka pracowała dobrze, jednakże warunki były takie, że straty poniesiono bardzo poważne.

Dość często komunikaty z Moskwy donoszą o zatapianiu transportów i okrętów wojennych niemieckich na Bałtyku. Wobec jednak wielkich liczb i wielkich zmagań, jakie się na froncie wschodnim odbywają, trudno sobie w tej chwili wyrobić objektywny sąd, jak te walki morskie na Bałtyku wyglądają i który z przeciwników jest w rzeczywistości panem dróg wodnych. Leningrad broni się dalej, a z miastem tym i bezcenna dla bolszewików baza—Kronsztad. Dopóki ona trwa—trwa również i równowaga sił na Bałtyku.

Londyn, 21 września 1941 roku

Bohdan Pawłowicz

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o łaskawe sprostowanie na łamach "Polski Walczącej" pomyłki, jaka się zdarzyła dzięki mojemu niedopatrzeniu. Mianowicie w numerze z dnia 13 września b.r. 37 "Polski Walczącej" na stronicy 5, w artykule moim p.t: "Potęga morska Wielkiej Brytanii" podpisy pod rysunkami w prawym rogu na górze powinny brzmieć:

zamiast "znak admiralski"—flaga admiralska,

zamiast "znak viceadmiralski"—flaga viceadmiralska,

zamiast "znak commodore (dowódcy dywizjonu)—znak komandora na pływającym stanowisku admirała.

Ponieważ rewizję tego artykułu przeprowadzałem osobiście, jest to moja wina, że w starannie i fachowo redagowanym tygodniku pańskim mogły się ukazać takie omyłki. Za co Pana Redaktora serdecznie przepraszam i łączę wyrazy szacunku i przyjaźni:

Londyn 21 IX. 1941 r.

—*Bohdan Pawłowicz*

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBey 6694.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.